

598
49
KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH

Dwadzieścia lat bohaterstwa ~~130~~
i zawiedzionych nadziei ~~1306~~

1795 — 1815

napisał

Józef Boreyko

~~Dz II-30~~
P. 871.

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

A-13569

**Biblioteka
U.M. O.S.
w Lublinie**



1000172208

Inst. 70c
K. 1104/56/1

OD AUTORA.

Pracę niniejszą oparłem na źródłach tak poważnych, jak dzieła: Schnürr-Pepłowskiego, Skarbka, prof. Askenazago i Sokołowskiego, robiąc wyciąg najważniejszych faktów i zestawiając je w całość, któryby mógł dać jasne i dobre wyobrażenie o jednym z najważniejszych okresów naszej historii.

Z dzieł pomienionych autorów brałem częstokroć całe zdania i okresy; zwłaszcza część I jest niemal skrótem dzieła Schnürr-Pepłowskiego, najlepszego historyka legjonów. Nie pretenduję tedy na samodzielnego historyka, źródłowego badacza, chodzi mi jedynie o to, aby jak najszerszy ogół mógł poznać te dwadzieścia lat dziejów naszych, które winny być księgą mądrości narodu.

Niech więc ten, że się tak wyrażę „uprawniony plagjat” — służy w dobrej sprawie temu, kto zechce poznać lub odświeżyć w swej pamięci świetną i smutną zarazem kartę dziejową naszego narodu.

1

CZEŚĆ I.

1795—1815, dwadzieścia lat ledwo! — a ileż w tym krótkim przeciągu czasu bohaterstwa, ile wysiłków nadludzkich, ile cierpień i nadziei zawiedzionych dla każdego polaka.

Nie wiele będzie przesady, jeśli powiemy, że przez te lat dwadzieścia, Polska przeżyła prawie tyle, co przez ośm wieków swego istnienia, jako państwo samoistne, a siły żywotnej, patryjotyzmu i poświęcenia bodaj że nawet więcej okazała. Nie było dotąd narodu, któryby już w trakcie upadku zaczął się odradzać. Przyczyniły się tu wprawdzie warunki polityczne, ale nie na tyle, aby same były w stanie wynaleźć iskrę w popiele i w wielki ją płomień rozdmuchać. Ponieśliśmy olbrzymie ofiary, ale rezultat ich był jeszcze bardziej olbrzymi

i przekonaliśmy świat cały, a co stokroć ważniejsze, samych siebie, że, jeśli upadliśmy jako państwo, żyjemy i żyć możemy, jako naród.

Wszak ów olbrzym-genjusz zeszłego stulecia, Napoleon, wyrzekł w swoim czasie: „zobaczę, czy polacy są godni być narodem!” i wkrótce przekonał się o tem na setkach pól bitew, po ofiarności bez granic, patrząc na czyny takich ludzi, jak Dąbrowski, książę Józef, Wybicki, Małachowski, Kniaziewicz i wielu, wielu innych, których imię jest „naród”.

Hańbę lat: 1772, 1793 i 1795 zmyły, zatarły lata 1795—1815, nie były tylko w stanie naprawić skutków. I nic dziwnego: wobec zwłaszcza tylu przeciwników i przeciwności, niemożliwą jest rzeczą naprawić w ciągu dwóch dziesiątków lat to, co psuły wieki całe.

Jakież to były wyżej wspomniane polityczne warunki, które przyczyniły się do szybkiego zbudzenia się narodu naszego z letargu?

Rewolucja francuska rzuciła nowe hasła, które aż do dna wstrząsnęły całą niemal Europą. Hasła te, aczkolwiek w wielu ra-

zach mylne i zwodnicze, głosiły tak piękne i tak szczytne idee równości, braterstwa i wolności, że mogły każdą szlachetną jednostkę porwać i natchnąć siłą olbrzyma do zwycięskiej walki z tymi, którzy nie chcieli, czy też nie umieli pogodzić się z nowymi prądami. Powaga ostatnich wzrosła niezmiernie, gdy nowozaciężni obrońcy sztandarów francuskich, częstokroć o głodzie i chłodzie, zwycięsko stawili czoło liczniejszym, wyćwiczonym pułkom państw monarchicznych. Oto pierwszy warunek, który dał impuls pozbawionej samodzielności Polsce do otrząśnięcia się z martwoty.

Drugi warunek, jeśli się tak można wyrazić, narodził się z pierwszego: rewolucja wydała Napoleona, ten zaś rosnąc w potęgę i sławę, chciał trząść światem całym, a więc potrzebował sprzymierzeńców, w których pierwszym rzędzie stali polacy, jako naród gotowy za nadzieję tylko swobody walczyć do ostatniej kropli krwi i umierać... A że umiał bić się i zwyciężać, tego dowodzić nie potrzebował.

Potężne były te dwa czynniki naszego zbudzenia się; lecz same przez się nie byłyby w stanie zupełnie obudzić, otrzeźwić

narodu, jak gromem rażonego 10 października 1794 r. na krwawem polu Maciejowic, a 4 listopada t. r. na zgłiszczach Pragi. Gdyby nasz naród nie miał w sercu miłości ojczyzny, bohaterstwa i poświęcenia w stopniu o wiele wyższym, niż inne, przy pierwszej nieudanej próbie zapadłby znowu w długowieczne odrętwienie i nie byłby w stanie wydać tylu i takich bohaterów ze wszystkich stanów i warstw społecznych, którzy głową i szablą świecili, świecą i świecić będą wiecznie narówni z Miltiyadsem, Hannibalem i Katonem.

I. Projekt legjonów.

Zaczątków odrodzenia się Polski należy szukać już nawet za Sasów. Ruch ten to wzmagał się, to słabł, doszedł do najwyższego napięcia 3 maja 1791 r. i w powstaniu Kościuszki, lecz i po jego stłumieniu, ani nawet po katastrofie trzeciego rozbioru całkowicie nie zgasł, był tylko bardzo słaby, tem słabszy, że nie mogąc działać jawnie, zmuszony był wejść na niebezpieczną i uciążliwą drogę prac tajnych; lecz fakt zawsze pozostanie faktem: był i wewnątrz kraju, i za granicą, a to dowodzi, że naród upadł li tylko jako państwo, poniósł śmierć wyłącznie polityczną.

Pierwszy impuls (po powstaniu 1794 r.) dali ci, którzy: 1) zostawszy w kraju, podtrzymywali patryjotyzm i budzili naród

z uśpienia i 2) opuściwszy ojczyznę w celu wyjednania pomocy tych narodów i państw, które nie brały udziału w rozbiorach, gromadzili się w Paryżu, oraz tych miejscowościach, gdzie Francja mogła im udzielić opieki i poparcia.

Udzielała ona i jednej i drugiego chętnie, gdyż, walcząc z Prusami, Austrią i Rosją, miała wprost w tem własną korzyść na widoku: w razie wywołania ruchu zbrojnego w Polsce część sił nieprzyjacielskich zostałaby odciągnięta od granic francuskich. Prócz tego nie można przeczyć, że grała tu rolę i łącząca dwa narody wzajemna sympatja, która zwiększyła się jeszcze z chwilą, gdy polacy przez sam bieg wypadków i położenie, w jakim się znaleźli, pomijając nawet inne pobudki, stali się na wschodzie najgorętszymi wyrazicielami idei, rzuconej przez francuzów na zachodzie.

W Paryżu też ukonstytuował się naczelny komitet organizacyjny i kierowniczy pracami, dążącemi do odbudowania Polski. Ruch w ten sposób powstały znacznie zwiększyła pogłoska, jakoby król pruski miał zamiar sprzymierzyć się z Francją i odbudować Polskę. Powierzchnie na-

wet pogłoska ta zdawała się sprawdzać. Ucisk w zaborze pruskim znacznie zwolniał: uwolniono generałów Madalińskiego, Grabowskiego, Giełguda, Dąbrowskiemu zaś dozwolono opuścić Warszawę i naznaczono uroczyste posłuchanie w Berlinie u dworu na 17 marca 1796 r., na które generał stawiał się w polskim mundurze, a przyjęty bardzo życzliwie, złożył Fryderykowi Wilhelmowi II memorjał o odbudowaniu Polski.

Wkrótce jednak Dąbrowski przekonał się, że rządowi pruskiemu ani się śni o czemś podobnem i pośpieszył do Paryża, gdzie też niebawem podał projekt utworzenia oddziałów z ochotników i tych polaków, poddanych austriackich, którzy w czasie wojen z Francją, dostali się do niewoli lub wprost opuścili wrogie sobie szeregi habsburskie.

Myśl ta nie była nowością, powstała bowiem już w 1794 r. po bitwie pod Szczekocinami, a autorem jej był Bars, bankier warszawski i zarazem agent polityczny polski w Paryżu. Rząd francuski przyjął wówczas projekt przychylnie. W celu ostatecznego ułożenia warunków wysłany został z kraju Wielhorski, lecz gdy Francja nie

mogła, a Szwecja z obawy narażenia się Rosji nie chciała podjąć się przewiezienia pułków polskich do Gdańska, projekt musiał spełznąć na niczem.

Dopiero generałowi Janowi Henrykowi Dąbrowskiemu udało się projekty zamienić w czyn, głównie dzięki poparciu Napoleona Bonapartego i usiłowaniom pomienionego paryskiego komitetu, w skład którego wchodził tak zasłużeni i dzielni mężowie, jak Wybicki, Wielhorski, Eljasz Tremo, Mniewski, Dembowski, Woyczyński, Kociell, Jasiński, Gedroyć. Prócz tego wiele działał zacny francuz, Kazimierz de La Roche, który nie szczędził ani zabiegów, ani pieniędzy, byle dać możność naszym wychodźcom poznajomienia się na swych salonach i wejścia w stosunki z wybitnymi jednostkami politycznymi i zwrócenia w ten sposób ogólnej uwagi na sprawy polskie, co się też w zupełności udało osiągnąć.

Gdy się to działo za granicą, wewnątrz kraju również nie siedziano z założonemi rękami. Tutaj ruch ogniskował się w Warszawie, u kasztelana Połanieckiego na Kanonji. D. 6 stycznia 1796 r. został podpisany w Krakowie tajny akt konfederacji, wy-

rażający gotowość poświęcenia wszystkiego za wolność, na pierwsze wezwanie Francji.

Generał Dąbrowski złożył rządowi francuskiemu swój memorjał w sprawie utworzenia polskich pomocniczych oddziałów 9 października 1796 r., równocześnie zaś prosił o pozwolenie zaciągnięcia się do sztabu generała Klebera, na co otrzymał natychmiastową zgodę ministra wojny, a w tydzień potem tenże minister wystosował do Napoleona Bonapartego, wówczas głównodowodzącego armją włoską, list następujący:

„Patryjoci polscy, pragnąc przygotować środki, mające na celu odbudowanie ich ojczyzny, życzą sobie znaleźć umieszczenie w wojskach francuskich. Generał Dąbrowski zaproponował, aby przyjąć na służbę Rzeczypospolitej zbiegów z szeregów cesarskich. Stosownie do konstytucji, nie wolno rządowi francuskiemu przyjmować cudzoziemców do swych wojsk i z tej racji projekt byłby niewykonalnym. Ze względu jednak, iż Rzeczypospolitej nie może być rzeczą obojętną ułatwienie polakom ucieczki z szeregów cesarskich, wzywa cię, obywatelu-generale, dyrektorjat, abyś zbadał, czy

rządy Lombardji i Modeny nie dałyby się nakłonić do przyjęcia ich w swoje szeregi”.

List ten rozstrzygał w zasadzie kwestję legjonów. Wynaleziono furtkę, która dawała możliwość obejścia prawa o służbie cudzoziemców; de fakto polacy wchodzili do szeregów francuskich, ponieważ tak rząd Lombardji jak i Modeny był filją dyrektoryjatu, co udowadnia fakt, iż trwały one tylko tak długo, jak i rzeczpospolita francuska.

Ostatnie zaś słowo w sprawie legjonów naszych pozostawiono Bonapartemu.

Jak żarliwie pracowano nad tworzeniem legjonów, najlepiej świadczy okoliczność, iż już w połowie listopada udał się Dąbrowski do Włoch, aby osobiście wyjednać przyspieszenie decyzji.

II. Tworzenie legjonu wołoskiego.

Podczas tych działań we Francji i w innych środowiskach wychodźstwa polskiego nie zasypiano gruszek w popiele, działając w miarę sił.

Jeszcze w lecie 1795 r. oświadczył poseł

francuski przy dworze tureckim, Verninac, klubowi polskiemu w Wenecji, że Francja poprze sprawę polską, oraz że koniecznem jest, aby polacy utrzymywali swych przedstawicieli przy dworze tureckim i szwedzkim.

Na pierwsze stanowisko wybrany został b. podskarbi litewski, Michał Kleofas Ogiński, który między innemi otrzymał polecenie, aby wyjednał u rządu tureckiego pozwolenie gromadzenia się wychodźców polskich na Wołoszczyźnie w celu zorganizowania siły zbrojnej. Po wielu trudnościach, czynionych przez Rosję, powiadomioną o roli Kosińskiego, udało mu się w marcu 1796 r. stanąć szczęśliwie w Konstantynopolu, gdzie po wielu i długich pertraktacjach zdołał nasz wysłannik, i to tylko przy pomocy Verninac'a, uzyskać zezwolenie na zbieranie się polaków na terytorjum wołoskiem i multańskim.

Fakt ten, kosztujący wiele wysiłków i czasu, okazał się w skutkach nietylko nieużytecznym, lecz wprost szkodliwym. Zamiast bowiem wszystkie siły i zasoby skierować do jednego celu, zaczęło się rozdwojenie, a co gorsza niesnaski i plotki, jakoby

naczelnicy klubu paryskiego, czerpiąc z funduszków składanych na cele patryjotyczne, żyli po pańsku, gdy reszta wychodźców pozostawała o głodzie i chłodzie. Skutek był taki, że większość ochotników ruszyła na Wołoszczyznę, część zrażona pozostała w kraju, a tylko mniejszość pospieszyła do Francji. Stąd na terytorjum wołoskiem zebrało się wkrótce około 2 tysięcy, prawie samych dawnych wojskowych.

Między innemi zjawił się tutaj Franciszek Ksawery Dambrowski v. Dąbrowski, człowiek bardzo młody, 24-letni, a bardzo zdolny, bo już przez Kościuszkę mianowany generałem. Pod koniec 1794 r. dostał się on do niewoli pruskiej, z której uciekł do Paryża, gdzie przejął się ideami skrajnie rewolucyjnymi i gotów był z młodzieńczą nieogłędnością i zapałem zaszczerpieć je wszędzie bez względu na grunt i warunki.

Wychodźcy wołoscy, zawiązawszy konfederację, obrali go jej marszałkiem, a usilnie prowadzona zwłaszcza w rosyjskim i austriackim zaborze agitacja, ściągająca na Wołoszczyznę wciąż nowe siły.

W Konstantynopolu tymczasem wytrwale działał Ogiński przy pomocy Verninac'a,

ale nic na razie uczynić nie mógł wskutek wręcz przeciwnych zabiegów ambasadora rosyjskiego hr. Koczubeja, i braku energii, a bardziej jeszcze wskazówek od swego rządu, przedstawiciela Francji. Dopiero gdy takowe otrzymał, zaczął energiczniej popierać naszego wysłańca w myśl dyrektora, który chciał niejako zmusić Turcję do ruchu anti-rosyjskiego przez nagromadzenie w jej granicach polskich wychodźców.

Pomimo wielu i to świetnych obietnic, na razie Turcja zezwoliła tylko na dalszą organizację legjonu, który zwiększał się wciąż nie tylko przez napływ wychodźców, lecz i dezertarów z armji austryjackiej i rosyjskiej, tudzież kmieci, chroniących się przed branką.

W oczekiwaniu wypadków, które mogłyby powołać legjon do czynu, odbywano ćwiczenia wojskowe, szyto mundury i t. p. Lecz zajęcia te nie były wystarczające, wśród beczynności i zwiększającej się zbieraniny trudno było ład i karność utrzymać. Tu należy się pochwała Dambrowskiemu, który pomimo trudności umiał pod tymi wzglę-

dami zadowolnić tak podkomendnych, jak i miejscową ludność.

W sierpniu 1796 r. powiał wiatr nieprzychylny dla sprawy wołoskiego legjonu. W Konstantynopolu nastąpiła zmiana ministrów, nowi byli stronnikami Rosji, wskutek czego wpływ Francji ogromnie się zmniejszył, a gdy do tego i dyrektorjat działał tylko półśrodkami, wzburzenie wśród legjonistów, podrażnionych niewyraźnem położeniem, bezczynnością i ciągłemi zwłokami, zaczęło przybierać groźne rozmiary.

Wtedy to za radą ks. Sułkowskiego, adjutanta Bonapartego, wystosował Ogiński do tego ostatniego list z prośbą o pomoc i użycie potężnego wpływu dla dopomożenia polskiej sprawie. I z tej więc strony skłonił nas los do udania się pod opiekę tej nowej gwiazdy.

Przed nadejściem na list ten odpowiedzi, Verninac został odwołany, a na jego miejsce przybył w październiku 1796 r. generał Aubert du Bayet, człowiek bardzo energiczny, dla nas życzliwy, ale nierozważny. Odkrył on Ogińskiemu cały program swej przyszłej działalności, w którym odbudowanie Polski zajmowało miejsce naczelne.

Radosne uczucie, zrodzone tem odkryciem, zwiększył jeszcze list Sułkowskiego, który głosił własne słowa Napoleona: „kocham i cenię polaków, którym się stała straszna niesprawiedliwość, a po ukończeniu wojny we Włoszech pójdę na czele moich szeregów i odbuduję Polskę”. Słowa te wyrzekł przyszły cesarz do Sułkowskiego po przeczytaniu listu Ogińskiego.

Nie długa jednak była radość!

Francja chciała przeciw Rosji stworzyć koalicję z Prus, Turcji, Szwecji i Danji; wtedy to miało wybuchnąć powstanie w Polsce. Cały ten plan jednak rozbił się w zarodku o niewyraźną postawę Prus i przysłowiową ospałość Turcji, na którą i aż do zbytku energiczny Aubert du Bayet nic nie mógł poradzić, choć użył ku temu takich galwanizujących środków, jak kwestja polska i ambicja paszy widdyńskiego, Paswana-Oglu.

Ów Paswan-Oglu po długich walkach z wojskami sułtana opanował Widdyń, który w końcu otrzymał w dziedziczne władanie, ale że się to stało w 1798 r., należał dumny pasza w trakcie opisywanych wypadków do liczby niezadowolonych.

Do niego to z wiedzą i wolą francuskiego przedstawiciela wybrał się Dambrowski w otoczeniu legjonowej starszyny i na uroczystem, a pysznem przyjęciu przedłożył ambitnemu Paswanowi następujący plan. Ogłosiwszy się władcą prowincji, którą opanuje, zajmie Paswan nadto Wołoszczyznę, Bośnię a nawet Siedmiogród, i zażąda wtedy od Francji uznania swych podbojów, co dyrektorjat napewno uczyni, jeśli tylko wzamian za to on, Paswan, da obecnie pomoc legjonowi, który mogąc w takim wypadku rzucić się na Austryję w Galicji, uczyni bardzo pożądaną dla Francji dywersję. Paswan zgodził się dostarczyć uzbrojenia, koni i wyekwipować 8-tysięczny korpus pomocniczy, z zastrzeżeniem jednak, żeby to nie było ogłoszone urzędownie.

Nim się to wszystko stało, Ogiński, uprzedzony o zamiarze Dambrowskiego rozpoczęcia powstania przez wtargnięcie do Galicji, wysłał doń list odwodzący od podobnie szalonego kroku, zaklinając go imieniem ojczyzny, aby cierpliwie czekał. Jednocześnie zawiadomił poselstwo francuskie o tem, co się święci; ale Aubert du Bayet

patrzył na wszystko z przeciwnego punktu widzenia, twierdząc, że napad na Galicję sprawi pożyteczną dla Francji dywersję, zmuszając Austrię do proszenia o pokój, a wtedy dyrektorjat czynnie poprze Polaków przeciw Rosji. W takim też duchu dał instrukcję generalnemu konsulowi Francji na Wołoszczyznę i Mołdawję, generałowi Carra de Saint Cyr.

Ogiński, widząc że nie przekona uparte go, a nieopatrznego francuza, nadto wzywany nieustannie przez klub paryski, w łonie którego również powstało rozdwojenie, puścił się w podróż do Francji pod przybranem nazwiskiem kupca Martin. W Bukareszcie zobaczył się z Dambrowskim, a ten zwierzył mu się ze swego planu, według którego chciał on złupić komory celne austriackie i, wyekwipowawszy legjon za otrzymane stąd fundusze, przedrzeć się do Lwowa na odbywające się tam na Trzech Króli kontrakty, a zabrawszy zgromadzone podówczas w mieście kapitały, ogłosić rewolucję społeczną.

Przeraził się niezmiernie Ogiński, usłyszawszy podobną nowinę i zakazał Dambrowskiemu w imieniu ojczyzny i Francji,

aby się nie ważył wszczynać takiego szaleństwa. Późem, ostrzegłszy konsula francuskiego, ruszył w dalszą podróż.

Dambrowski jednak nie uspokoił się, do czego po części upoważniało go zachowanie się generała Carra Saint Cyr, który w myśl swego zwierzchnika nie stawiał przeszkód jego działaniom. Rozesławszy tedy gońców po pieniądze do Lwowa, Krakowa i Drezna, osobiście wybrał się, jak to już wiemy, do Paryża, a po powrocie zabrał się do ostatecznej organizacji i ekwipowania legjonu.

Wśród gorączki przygotowań gruchnęła nagle wieść o zawarciu pokoju franko-austriackiego i o jednoczesnem otrzymaniu przez Auberta du Bayet rozkazu rozwiązania konfederacji. Cała tedy sprawa pękła, jak bańka mydlana.

Część legjonistów ruszyła z powrotem do domów, część podążyła do Włoch, gdzie już w styczniu 1797 r. Henryk Dąbrowski urzeczywistnił plan legjonów; Dambrowski z kilkunastu oficerami znalazł przy protekcji eks-króla, Stanisława Augusta, opiekę u cesarza rosyjskiego, a około 200 pozostałych pod wodzą Denyski wpadło na Bukowinę, gdzie zostali tak rozbici przez

czyhających na nich austriaków, że za ledwo sam Denysko w kilkanaście koni umknął i oddał się w opiekę Rosji.

Awantura ta jednak ogromnie zaszkodziła działalności tych patryjotów galicyjskich, którzy szczerze wzięli się do poparcia sprawy legjonów. Zaczęły się prześladowania, śledztwa, areszty, które wprost uniemożliwiły dalszą pracę patryjotyczną.

Taki był koniec legjonu wołoskiego oraz skutek awanturniczej wyprawy, choć, z drugiej strony lepiej, że się tak stało, aniżeli, gdyby Dambrowski zaczął swoje plany wykonywać. Oplacilibyśmy wtedy ten wyskok o wiele drożej.

Niefortunny wódz legjonu wołoskiego, dobrze przyjęty przez cesarza Pawła, otrzymał wraz z rangą generał-majora pozwolenie formowania z Polaków pułku dragonów, lecz już w listopadzie 1798 r. wpadł w niełaskę, pułk jego przeorganizowano, a samego uwięziono. Uwolniony w 1801 r. Dambrowski według jednych usunął się w zaciśże, według drugich zaś pozostał na służbie rosyjskiej, a nawet w 1830 r. walczył przeciw rodakom,

III. Tworzenie legjonu włoskiego. Dąbrowski.

Sprawa legjonów na wschodzie przepadła szybko i bezpowrotnie, za to na zachodzie, we Włoszech, w tym samym czasie przyoblekła się w szatę realną. Stało się to w sposób następujący.

Z końca rozdziału I wiemy już o podróży generała Dąbrowskiego do Włoch, dla osobistego porozumienia się z Bonapartem, który, rozgromiwszy austriaków, utworzył z księstwa Parmy i Modeny rzeczypospolitą Cispadańską, t. j. leżącą po tej stronie rzeki Po.

W ostatniej kampanji brał udział bataljon polski pod majorem Strzałkowskim. Oddział ten pozostający na żołdzie włoskim, nie miał jakoś szczęścia wpaść w oko głównodowodzącemu, który nadto tak oschle przyjął Dąbrowskiego 4 grudnia 1796 r., że ten sam nie wiedział, co ma o tem sądzić i co nadal przedsiębrać.

Na widownię wystąpił teraz dawny podkomendny Dąbrowskiego, Amilkar Kosiński, który przyjąwszy obywatelstwo francuskie,

służył przez czas kampanji 1796 r. jako kapitan głównego sztabu i wyrobił sobie duże stosunki. Spotkawszy się z Dąbrowskim po jego widzeniu się z Bonapartem, gorąco zajął się sprawą i umiał trafić do szefa sztabu, Berthier'a, który poparł tak skutecznie plan legionów u naczelnego woźdza, że ten wezwał sam Dąbrowskiego i polecił mu wszcząć układy z rządem republiki cispaadańskiej, w celu uformowania legjonu polskiego, a jednocześnie dał upoważnienie do zbierania jeńców polskich, życzących sobie służyć w projektowanych szeregach oczyszczonych.

Wobec tego sprawa poszła w tak szybkim tempie, że już 9 stycznia 1797 r. stanęła ugoda z rządem Lombardji, który przyjmował polaków do swych szeregów, jako oddziały pomocnicze z polską organizacją, mundurem i komendą. Cała umowa zawierała się w 10 artykułach, z których szósty brzmi jak następuje:

„Lud lombardzki oświadcza, że uważać będzie polaków, uzbrojonych na obronę wolności, jako braci, nie zaś zaciąg cudzoziemski. Stosownie do tego przyznaje im Administracja generalna Lombardji wszyst-

kie prawa przysługujące rzeczywistym obywatelom kraju. To jednak nie przeszkodzi im udać się do rodzinnych ognisk, jeżeli tego będą wymagać wypadki i jeżeli wolna Lombardja nie będzie potrzebowała bronić swej niepodległości”.

20 stycznia t. r. wydał generał Dąbrowski odezwę, nawołującą wszystkich, w kim polskie serce bije, aby spieszyli pod sztandary legjonu, który walcząc dziś za wspólną sprawę wszystkich ludów — wolność, może ją i dla swej ojczyzny kiedyś wywalczyć. Wrażenie tej odezwy, tysiącami rozposzechnianej po Francji i Włoszech, przemycanej do Polski, rozrzucanej po linjach austriackich forpoczt, było ogromne. Ściągała ona codzień nowych ochotników, którzy nie pytając o gwarancję, nie zważając na niebezpieczeństwa, porzucali kraj rodzinny i szli ochoczo służyć obcej sprawie na dalekiej, obcej ziemi, bo sądzili, że tą ofiarą okupią niepodległość swego kraju, stworzą lepszą, jaśniejszą przyszłość nowemu pokoleniu.

A wszystkim przyświecał Dąbrowski patryjotyzmem, poświęceniem i ofiarnością bez granic. Widząc bowiem, że z braku fun-

duszków sprawa może pójść w odwłokę lub nawet upaść, przedostał się z ogromnym trudem i narażeniem do Galicji i tu sprzedał swoje dziedzictwo, wieś Pierzchowiec, a pieniądze zań wzięte ofiarował na organizację legjonu.

D. 8 lutego 1797 r. liczący już prawie 2 tysiące ludzi legjon wyruszył na stanowisko do Mantui, a wkrótce potem otrzymał chrzest ogniowy podczas powstania ludowego w Brescji.

W tym czasie, gdy wysiłki patryjotów doprowadziły do pożądanego skutku dzieło legjonu, w kraju, a zwłaszcza w zaborze rosyjskim, zaszły poważne zmiany.

Syn i następca cesarzowej Katarzyny, Paweł I, uchylił wiele zarządzeń swej matki, był on bowiem przeciwnikiem rozbiórów Polski. Zaraz po wstąpieniu na tron osobiście z honorami zwrócił wolność więzionemu Kościuszce, a nadto zaproponował mu wysoki stopień w swej armji. Wskutek osłabionego zdrowia i zniechęcenia, naczelnik zaszczytu nie przyjął, a prosił o zezwolenie wyjazdu za granicę, które natychmiast otrzymał. Dalej, ks. Józefa Ponia-towskiego, który na ustawiczne prośby

swego stryja, Stanisława Augusta, przybył do Petersburga, mianował cesarz przeorem zakonu Maltańskiego, obdarował starostwami i uczynił tę samą propozycję, co i Kościuszcze, lecz ksiązę dla tych samych pobudek, co naczelnik, odmówił. Prócz tego uwolnił cesarz wszystkich uwięzionych polaków, a zesłanym do Rosji pozwolił powrócić do kraju; rozesłał wreszcie za granicę agentów dla nakłonienia wychodźców do powrotu. Jednem słowem, warunki zmieniły się na lepsze.

To samo zauważyć można było i w zaborze pruskim.

W anstrjackim, gdzie w 1785 r. wprowadzono urzędowy język niemiecki i nałożono ciężkie podatki, z chwilą wstąpienia na tron w 1790 r. Leopolda II nastąpiła niejaka ulga. Nowy cesarz chciał nawet podobno nadać Galicji ustrój konstytucyjny, ale ze względu na różne powikłania polityczne rzecz poszła w odwłokę, a z chwilą awantury wołoskiej i tworzenia legjonu we Włoszech, ucisk i prześladowania odżyły z daleko większą siłą, niż za czasów Józefa II. Leopold II zmarł zresztą w 1792 r. a tron zajął Franciszek I.

Wogóle jednak polepszenie warunków było powierzchowne i krótkotrwałe, a stan całej Polski bardzo smutny, szczególnie ze względów moralnych. Oświata, podniesiona w czasach rozbiorowych przez Komisję Edukacyjną i usiłowania wybitnych jednostek, znowu upadła, zaniedbana umyślnie przez nowych władców, a na domiar złego, w zaborach niemieckich, nieliczne zresztą szkoły stały się narzędziem germanizacji, a nie przybytkami nauki i wiedzy.

O ile rządy zaborcze wogóle twardo się obchodziły z nowymi poddanymi, o tyle tolerowały wybryki młodzieży, zwłaszcza arystokratycznej i zamożnej, gdyż takowe, wpływając demoralizująco na całe społeczeństwo, obniżały moralny poziom narodu, czem go osłabiały i czyniły niezdolnym do zakusów wolnościowych, a w szczególności niszczyły kwiat każdego narodu—młodzież inteligentną. A niestety! wielu wśród niej, i to nawet takich, którzy w gruncie rzeczy kochali kraj, czego później świetnie własną krwią dowiedli, dało się wciągnąć w wir pustoty, tracili złoto na rozpustę garściami całemi, wtedy, gdy daleko we Włoszech, druga część tejże młodzieży walczyła o gło-

dzie i chłodzie, zlewając obficie własną krwią obcą glebę, w nadziei, że odkupią, odrodzą swą ojczyznę.

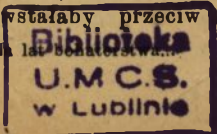
Ma się rozumieć, literatura i sztuka, które za ostatniego króla wysoko stały, znowu ogromnie upadły, czemu się zresztą trudno dziwić, tak z uwagi na ogólny upadek, jak i potop nieszczęść, z jednej strony, a potęgą wysiłków ku ich powetowaniu z drugiej; wobec tego ostatniego nie myślało o rzeczach, które bezpośrednio nie dotyczyły kwestji pałacej. Krótko mówiąc, cofnęła się Polska pod wszelkimi względami, prócz jednego tylko patryjotyzmu, który wbrew wstecznemu ruchowi na innych polach, rósł i potężniał, obalając przeszkody, porywając coraz to nowe, obojętne nawet z początku lub zniechęcone i znieczulone nieszczęściami jednostki. Na razie wszystkie siły wyteżyły się wyłącznie ku odzyskaniu utraconej wolności.

Na usprawiedliwienie tej części młodzieży, która beczynnienie pozostała na ziemi ojców, może posłużyć ta okoliczność, że wielu z pośród niej nie wierzyło, aby można cośkolwiek osiągnąć przy pomocy „krwawej” rzeczypospolitej francuskiej, która nie

obdarzył bataljony sztandarami, a generałowi Dąbrowskiemu ofiarował konia z rzędem.

W tym czasie Austria wysłała na teatr wojny najlepszego ze swych wodzów, utalentowanego arcyksięcia Karola, lecz i on pobity przez Bonapartego pod Tagliamento, musiał się ustawicznie cofać. Wskutek tych klęsk austriaków, a także niezupełnie wolnego od niebezpieczeństw położenia wojsk francuskich, zagrożonych powstaniem ludowym, podpisano w Leoben 18 kwietnia 1797 r. traktat pokojowy, który tak fatalnie rozwiązał legjon „wołoski”, a „włoski”, który doszedł już do siły 5000 ludzi, udziału w ostatniej kampanji przeciw wojskom austriackim nie brał, pomimo nalegań swego twórcy i wodza, Dąbrowskiego, który wygotował i przedstawił głównodowodzącemu plan działania legjonu, wspartego oddziałem francuskim.

Według planu tego korpus polsko-francuski, postawiony na prawem skrzydle, miał wyruszyć przez Dalmację i ziemie tureckie do Galicji, która w takim razie niechybnie powstałaby przeciw ciemężycie-



lom. Austria, chcąc zwalczyć bunt, musi osłabić swą włoską armję, odwołując jej część na północ. Dalej, licząc na zbrojną neutralność Turcji, odwieczną zawiść Prusku Austrii, oraz przychylne usposobienie dla nas Pawła I, można było daleko posunąć nadzieje. W razie zaś niepowodzenia wyprawy niewiele się rezykuje i traci, a i to wyłącznie polacy, gdyż pomocniczy oddział francuski w najgorszym razie znajdzie schronienie na neutralnej ziemi tureckiej, a legjon cofnie się tam, skąd przyszedł.

Z dzisiejszego punktu widzenia projekt ten może się wydać nie tylko niewykonalnym, ale niemal fantastycznym, w swoim jednak czasie znalazł uznanie i poparcie nie tylko u samych interesowanych, ale i patryjotów paryskich, a minister spraw zagranicznych, Kazimierz de la Roche, oświadczył, że choć Francja nie może jawnie wezwać Galicji do powstania, ale chwila odrodzenia Polski jest już bardzo blizką.

W marcu nakazał Dąbrowski ściągnąć cały legjon do Palma Nuova. Wszystko tedy zapowiadało się jak najpomyślniej, gdy nagle spadła wieść o traktacie w Leoben.

Wódz legjonu w tej chwili pospieszył do Gracu, do głównej kwatery armji, aby się dowiedzieć o losie legji, ale nic stanowczego od Bonapartego nie usłyszał, prócz pochwał dla męstwa polaków i wyrzekania na okoliczności, nie pozwalające uczynić coś realnego dla naszej sprawy. Stosownie do rozkazu naczelnego wodza poprowadził Dąbrowski legjon do Treviso, zgniótłszy w sobie rodzące się uczucie zniechęcenia i goryczy, oraz poprzysięgając w duchu nie opuszczać w żadnym razie legjonu i sprawy pod jego sztandarem rozpoczętej. Przyśięgi tej dotrzymał wiernie.

Z powyższego widzimy, że już na samym wstępie los nie pożałował rozczarowań i przestróg.

Gdy legjoniści próbowali odrodzić ojczyzną szablą, ci co nią nie władali, jak Wybicki, Woyczyński, Prozor, Kochanowski i inni powzięli projekt zwołania do Medjolanu sejmu, jako ciąg dalszy zalimitowanego w 1792 r., aby w ten sposób stworzyć legalne przedstawicielstwo Polski. Chcąc zebrać potrzebną liczbę posłów, miano wydać odezwę do członków sejmu wielkiego, aby pospieszyli do Medjolanu. Pod wpły-

wem jednak Ogińskiego, który patrząc na rzeczy trzeźwo i zimno, przekonał projektodawców, iż nie wolno im, tułaczom, na zasadzie li tylko niepewnej nadziei narażać na zmienność losu poważnych ojców rodzin i dobrych obywateli kraju, — zamieniono odezwę na zwykły okólnik, który zaznajamiał interesowanych z zasadami projektu i wzywał do rozważenia takowych. Lecz i to nie uchroniło od przykrych następstw, wymieniono bowiem nierozważnie nazwiska Małachowskiego i Ignacego Potockiego, którzy wzmiankę tę opłacili paroletniem więzieniem. To samo spotkało wysłanych do kraju emisariuszów, Woyczyńskiego i Kochanowskiego. Projekt zaś upadł.

Znów tedy wszystkie nadzieje spoczęły na legji, która wkrótce znowu znalazła się w ogniu, pod murami zbuntowanej Werony, gdzie nasz oddział pod majorem Liberackim pierwszy wdarł się do twierdzy, okupując bohaterskie zwycięstwo śmiercią walecznego dowódcy. Zdobycie Werony znacznie przyspieszyło poddanie się obleżonej przez francuzów Wenecji. W trakcie tych walk przybył do głównej kwatery legjonu generał Karol Kniaziewicz z majorem Drze-

wieckim, którzy ledwo zdołali przedrzeć się przez kordony anstrjackie.

Bonaparte natychmiast wezwał do siebie Kniaziewiczza i poczynił takie nadzieje, grożąc wkroczeniem do Węgier i obiecując wysłać legion w awangardzie, że szalona radość opanowała biednych tułaczy-bohaterów, którzy oczami duszy już widzieli ukochane, a wolne łany ziemi ojczystej.

Po poddaniu się Wenecji pomaszerował legion do Bolonji, gdzie założono główną kwaterę.

W tym czasie stawiło się w Medjolanie wielu oficerów polskich z generałem Wielhorskim na czele, wskutek czego przystąpiono zaraz do organizacji drugiego legjonu, nad którym dowództwo objął generał Kniaziewicz. W czerwcu obydwie legjony liczyły do 10000 ludzi wszystkich broni, kawalerji tylko, ze względu na jej kosztowność, było bardzo mało.

Bonaparte nie chciał wierzyć, aby legjoniści, których większość rekrutowała się z jeńców i dezertersów armji anstrjackiej, mogli się dobrze bić z cesarskimi szeregami, i dlatego nie pozostawił legjonów wobec ewentualnej wojny z Austrją w północnych

Włoszech, a wysłał na przytłumienie powstania w Reggio, czego też w przeciągu kilku dni dokonano. Wszystkie te powstania były wywoływane przez wrogów republikańskiej Francji, korzystających w tych wypadkach z fanatyzmu religijnego ciemnych mas ludu i antireligijności wielkiej rewolucji i jej synów.

W lipcu 1797 r. powstała w Reggio znana pieśń: „Jeszcze Polska!”

Pieśń ta, której autorem był Wybicki, a kompozytorem (według wszelkiego prawdopodobieństwa) Ogiński, wyryta, miast panegiryków i tytułów na nagrobku Dąbrowskiego, natchnęła nowem życiem naszych włoskich bohaterów, dźwignęła ich poświęcenie do niebywalej wysokości, dała siłę do znoszenia najcięższych braków i rozczarowań. „Za twoim przewodem złączym się z narodem” — z temi słowy legionista bił się jak lew nawet w chwili najwyższego zwątpienia.

Wielką zasługę w podnoszeniu ducha, wyrabianiu patriotyzmu i szerzeniu światła nauki w szeregach legionów położyli: major Józef Drzewiecki i porucznik Cyprjan Go-

debski, który wydawał w Mantui pismo dla legjonistów pod tytułem „Dekada”, prócz tego wspólnie z kapitanem Paszkowskim uczył systematycznie żołnierzy matematyki i historii ojczystego kraju.

Tymczasem nigdy nieustrudzony i niczem nie zrażony naczelny wódz legjonów, Dąbrowski, ciągle kołatał do Bonapartego, przypominając mu pragnienia i nadzieje Polaków. W jednym ze swych listów pisał do głównego wodza, że z chwilą, gdy zaczęły się toczyć układy o powszechny pokój, upadła nadzieja powrotu do ojczyzny z bronią w rękę, a na zasadzie czynów legji, zwraca się naród do rządów francuskiego i cisalpijskiego z prośbą o wywarcie nacisku na to, aby Polska otrzymała miejsce dla swych przedstawicieli w mającym się odbyć kongresie pokojowym.

Na to „dictum” odpowiedział Bonaparte odmownie, tłumacząc się trudnością spełnienia obecnie tego życzenia ze względów wyłącznie politycznych, cała zaś Francja i on osobiście składają hołd poświęceniu i bohaterstwu Polaków. Odmowę osłodził jeszcze Bonaparte uroczystą obietnicą dopuszczenia legjonów do czynnej walki z Austrią, jeśli

stały pokój nie dojdzie do skutku. Na poparcie zaś słów wydał rozporządzenie posunięcia legionów ku teatrowi przyszłych krwawych zapasów. Uspokoilo to nieco umysły i zabrano się do wykonania ostatniego rozkazu, gdy wtem, jak grom z jasnego nieba, spadła wiadomość o ostatecznym zawarciu pokoju w Campo-Formio d. 17 października r. b.

Na tę wieść rozchorował się Dąbrowski *) i Wielhorski, inni oficerowie formalnie potrącili głowy i energję, a legjony znów zostały rozcząstkowane: główną kwaterę przeniesiono do Ferrary, artylerję posłano do Mantui, a strzelców z Chłopickim na czele do Wenecji, gdzie każdej chwili groził wybuch powstania, które się jednak szczęśliwie dało zażegnać bez rozlewu krwi.

Oficerowie zebrani na naradę w głównej kwaterze, jednogłośnie złożyli dalsze prowadzenie sprawy bez żadnych zastrzeżeń w ręce generała Dąbrowskiego, który też zdążył jeszcze przed wyjazdem Bonapartego z Włoch polecić gorąco jego względom

*) Schnürr-Pepłowski.

i wpływowi los legji i sprawę polską. Pozostawiony, jako wódz naczelny, generał Berthier, znalazł wkrótce czynność dla naszych wojaków.

Kardynał Bosco, kierownik spraw zagranicznych państwa kościelnego zaczął po za jego obrębem podburzać lud przeciw republikanom, którzy udali się o pomoc do woźda francuskiego. Berthier, nie chcąc mieszać Francji formalnie w tę sprawę, wyznaczył oddział Dąbrowskiego.

Pierwszym czynem legjonu w tej ekspedycji było zdobycie na niedostępnych skałach położonej twierdzy San Leo, gdzie świetnie odznaczyli się grenadjerzy. Po tym zdarzeniu wojska papieskie cofały się, nie dając pola idącym wślad za nimi naszym. Natomiast w samym Rzymie, stolicy państwa, zaczęły się rozruchy. Zrewolucjonizowany tłum z okrzykiem: „niech żyje wolność i Francja!” otoczył gmach poselstwa francuskiego.

Ambasadorem rzeczypospolitej był wówczas brat Napoleona, Józef Bonaparte, który, chcąc uspokoić tłum, wmięszal się weń w towarzystwie generała Duphot, w chwili,

gdy wojsko uderzyło na lud i kula ugodziła tego ostatniego.

Skutek zajścia był taki, że poselstwo francuskie opuściło Rzym, oddając się pod opiekę siły zbrojnej swego rządu w osobie znajdującego się najbliższej ze swym oddziałem Dąbrowskiego, i żądając zadośćuczynienia za zniewagę.

Wtedy Berthier zjawił się w głównej kwaterze wodza legjonów i ni stąd ni zowąd, zaczął mu w ostrym tonie czynić wymówki za wkroczenie na terytorjum papieskie i za działania ze słabemi siłami, co mogło grubo narazić opinię niezwyciężoności wojsk republikańskich, jaką się dotąd cieszyły.

Na to okazał Dąbrowski porywczo nietaktownemu francuzowi list Józefa Bonaparte, żądający pomocy czynnej, a na drugi zarzut odrzekł, że liczy nie na ilość, lecz jakość żołnierza. Tak odparowany Berthier, korzystając z posiadanej przez się władzy głównego wodza, nakazał legjonowi pozostać na miejscu do nadciągnięcia na jego zmianę dywizji francuskiej, a gdy to nastąpi, cofnąć się do Rimini na tyły armji czynnej.

Tutaj rozpatrzył Dąbrowski memorjał

niewyjawionego przezeń autora o projekcie odbudowania Polski przy pomocy Austrii, oparty na następującej kombinacji. Cesarz austrijacki, silniejszy po szczególe od rosyjskiego i króla pruskiego, może się przez to samo obawiać li tylko koalicji tych dwóch mocarstw; i to jednak niebezpieczeństwo rozwieje się, gdy Austria zjedna sobie polaków, co, jako najmniej korzystająca z rozbioru Polski, może łatwo uczynić. Nadto w wypadku tym wrogie stanowisko Francji zamieni się na przyjazne, a nawet na przymerze austro-francuskie. Bodźcem dla popchnięcia dworu wiedeńskiego do takiego kroku, byłoby oddanie przyszłego tronu polskiego arcyksięciu Karolowi. Gdyby zaś Prusy i Rosja opierały się temu, musiałyby się zmierzyć z taką potęgą, jak Francja i Austria, posiłkowane przez Turcję i Szwecję, nie licząc już nawet polaków, którzy z samej natury rzeczy odegrałiby jedną z pierwszych ról.

Prócz tego podnosił memoriał pomieniony już projekt zwołania zalimitowanego sejmku wielkiego do Medjolanu, który, jako powaga, oparta na polskiej sile zbrojnej we Włoszech mógłby zażądać przy poparciu

Francji miejsca dla naszych przedstawicieli na powszechnym kongresie pokoju.

General Dąbrowski przesłał ten memoriał do Wiednia posłowi francuskiemu, generalowi Bernadotte. Pomimo jednak poparcia tego ostatniego nie zgodził się dwór wiedeński na krok tak stanowczy. Trudno zresztą uwierzyć, aby nawet miał na to chęć, aczkolwiek bowiem: 1) przy rozbiorach otrzymała Austria najmniejszą część Polski, ale za to najbogatszą, gdyż samą tylko samborską ekonomję oszacowano na 4000000 złr., starostw było 72, a Wieliczka dawała ogromny dochód; — pozbyć się tego wszystkiego nie byłoby zbyt przyjemnie, a 2) do szpiku kości arystokratyczno-monarchiczna Austria ciążyła tem samem daleko więcej ku Prusom i Rosji niż ku „królobójczej” demokratyczno-republikańskiej Francji i, szlacheckiej wprawdzie, ale konstytucyjnej i wolnościowej Polsce.

We Włoszech tymczasem zaszły zmiany, które nastąpiły legjonom znów pole do czynu; Berthier został odwołany, naczelne dowództwo objął Massena, a komendę nad wojskami cisalpijskimi Brune, który pole-

cił Dąbrowskiemu większą częścią polskich sił wzmocnić załogę Rzymu.

Ruszono tedy w pochód, który dał jasne świadectwo całej ludzkości taktownego zachowania się legionistów w ich wyprawach. Miejscowa ludność, która już nauczyła się odróżniać mundury polskie od francuskich, nigdzie nie zaczepiała naszych, z doświadczenia przekonana, że nie zajmują się oni grabieżą, ani gwałtami nad bezbronnymi, umieją uszanować kościoły i religję. W trakcie 3-tygodniowego pochodu zawierano na postojach przyjacielskie znajomości z mieszkańcami, a w Immoli, rezydencji kardynała Claramonti, późniejszego papieża, Piusa VIII, gdzie się dłużej zatrzymano, nawiązał się między dostojnikiem kościoła, a legionistami nader serdeczny stosunek.

W sam dzień 3 maja 1798 r. legion wkroczył do „wiecznego grodu”.

General Dąbrowski krótko a serdecznie przemówił do szeregów, przypominając w jak wielkim i świętym dla nas dniu stanęli w Rzymie, i jak się powinni w nim zachować, mając zwrócone na siebie oczy Europy. W d. 8 maja otrzymał wódz z rąk

legjonistów sławną chorągiew Mahometa, zdobytą pod Wiedniem przez Jana III, i podarowaną przezeń papieżowi, a przechowywaną nieopodal Rzymu, w Loretto,— prócz tego klingę szabli tegoż króla bohatera.

Nastrój wśród legjonów był podniosły, ale pod względem materialnym źle się działo: z powodu nieustannych zmian w łonie rządu cisalpijskiego panował absolutny niedostatek. Chcąc choć w części złemu zaradzić, pozwolił Dąbrowski legjonistom najmować się do robót polnych na niwach powstałych z częściowego osuszenia błot pontyjskich. Wskutek strasznych upałów przy błotnistych wyziewach zaczęła w szeregach grasować malarja i febra i pochłonęła w krótkim czasie tyle ofiar, jak krwawa bitwa. Musiał tedy wódz zamienić pozwolenie na zakaz: i ten szczupły dochód się urwał. Na domiar złego jeszcze dwie okoliczności wywołały to, czego dotąd w legjonach nie było, a czego się należało ogromnie lękać:—niesnaski.

Przy kościele św. Piotra znalazł się ksiądz-polak, Fałęcki, do którego, oddawna pozbawieni możności wypowiedzenia się,

garnęli się tłumnie pobożni legjoniści, a spowiednik pouczał, iż nie należy walczyć za Francję, która się Boga wyparła podczas rewolucji, tembardziej przeciw prawowier-
nym włochom. O tych naukach zawiado-
mili legjoniści swego wodza, który rozka-
zał Fałęckiemu natychmiast opuścić Rzym,
na co mu nawet dał fundusz; lecz dopiero
rozstrzelanie głównych podżegaczy zakoń-
czyło knowania.

Prócz tej, jeszcze druga okoliczność za-
mąciła spokój wśród przykładnych dotąd sze-
regów. Generał Dąbrowski wyjechał w spra-
wie tej nowej bezczynności, powierzwszy
dowództwo Kniaziewiczowi. Wtedy to róż-
ni awanturnicy, którzy w czasie wojen i nie-
pokojów jakby z pod ziemi wyrastają, korzy-
stając, iż nowy wódz, oddany cały sprawom
służbowym, mało zwracał uwagi na ze-
wnętrzne życie i stosunki podkomendnych,
zaczęli urządzać różne wybryki. Na czele
stał litwin, Hadzkiewicz, człowiek boga-
ty, nad wszystko lubiący karty i hulankę,
i wciągał do tego nietylko oficerów, ale
i miejscową młodzież. Zaczęły się tedy
gorszące sceny, zajścia, swary i pojedynki,
a wszystko razem wywoływało widmo tego,

co się działo w Polsce ostatnich czasów i co tak zgubnie na jej losy wpłynęło i mściło się teraz poniewierką i tułactwem najlepszych jej synów.

Dąbrowski tymczasem przebywał w Medjolanie, borykając się z trudnościami w wyjednaniu u rządu funduszu na umundurowanie i wypłatę zaległego żołdu. Jedno i drugie było kwestją palącą, a ciężką do wykonania z powodu pustek w wycieńczonym wojną skarbie państwa. W końcu udało się wodzowi pod tym względem dopiąć celu: pieniądze przywiózł major Tremo, a umundurowanie kapitan Dembowski. Zawiodła za to nadzieja, że przy poparciu Kościuszki, który przybył wtedy do Francji, uda się uzyskać od dyrektorjatu jakieś realne, polityczne korzyści. Pomimo świetnego i owacyjnego przyjęcia z jakim wystąpił dla Kościuszki cały naród francuski z przedstawicielami rządu na czele, nic nie mógł naczelnik zdziałać pod powyższym względem.

W tym trakcie na południu państwa Kościelnego wybuchło powstanie, na stłumienie którego wyprawiono oddział francusko-polski.

Ferentino, Frosinone, Piperno i Terradua stały się nowymi pomnikami męstwa polskiego żołnierza, a dowodzący ekspedycją, generał Macdonald dał temu świadectwo w swych urzędowych raportach. A trudne było zadanie walczyć ze sfanatyzowanym tłumem, bijącym się pod wodzą księży z krzyżem w ręku do tego, na widok których ręce opadały naszym żołnierzom, padło ich też w tej wyprawie około 100. Najwięcej odznaczył się major Nadolski, który pierwszy wdarł się do Frosinone.

W tym czasie nowa burza, i to o wiele straszniejsza, niż wszystkie poprzednie, zbierała się nad Francją, a więc i nad utworzonymi przez nią republikami włoskimi, a co za tem idzie, i nad naszymi tułaczami. Bądź co bądź jednak, lepsza była burza, niż bezczynność, bo w jej błyskawicach i gromach tkwiła dla nas nadzieja, że ofiary nie będą napróżne, że krew rozlana będzie cementem dla odbudowania ojczyzny.

V. Zwycięstwa we Włoszech. Nie- szczęścia legjonu.

Anglja, nieubłagany, zacięty wróg rewolucji i rzeczypospolitej francuskiej, stworzyła i podniosła przeciw niej nową koalicję, w skład której weszła Austrja, Rosja, Neapol, Sardynia i Toskania.

Z powodu takiego ugrupowania się nieprzyjaciół, armja rzymska wraz z legjonami znalazła się przypartą przez przeciwników do morza, na którem niepodzielnie panowali anglicy. Nadto siły franko-polskie, liczące 16000 zbrojnych miały przeciw sobie samych neapolitańczyków 40000. Dowodzi nimi, przysłany przez Franciszka I austrjacki generał Mack, — i to było całym szczęściem dla armji republikańskiej, gdyż teoretyk ten okazał się na polu bitwy wprost niedołężnym. Pierwsze kroki zaczepne rozpoczął od gwałtownego najścia na Rzym, obiecując królowi neapolitańskiemu, że w ciągu dni kilkunastu zgniecie przeciwnika.

Stało się jednak inaczej.

Nowy naczelny wódz armji rzymskiej,

dzielny, utalentowany Championnet, na razie cofnął się z Rzymu dla skoncentrowania swoich sił, a w dziesięć dni potem, gdy nasz Kniaziewicz szturmem zdobył Magnano, uderzył Championnet pod Civita Castellana na całą armję neapolitańską i rozbił ją kompletnie, zmuszając do bezładnej ucieczki. Zwycięstwo rozstrzygnął dzielny Kniaziewicz śmiałem uderzeniem na środek sił wrogich, zakończonem ich przerwaniem świetną szarżą kawalerji, osobiście przez generała prowadzoną.

Jeszcze świetniej odznaczył się Kniaziewicz pod Colvi, gdzie cały oddział neapolitański zmuszony został do poddania się, za co naszego dowódcę awansowano na generała brygady. W tym czasie wrócił z Medjolanu Dąbrowski, ale nie odebrał już dowództwa z rąk swego dzielnego zastępcy, a sam pozostał przy głównym sztabie.

Dzięki powyższym zwycięstwom, w 3 tygodnie po opuszczeniu Rzymu, znów go zajęły wojska franko-polskie, a pozostawiwszy w nim nieliczną załogę, podążyły dalej w granice napastników po nowe laury.

Ciężki był pochód przez bagna pontyjskie, gdzie w każdej kępie czyhał ukryty

nieprzyjaciel, a klimat przyprawiał o choroby; lecz dzielni legjoniści nieustannie posuwali się naprzód, aż wilją nowego 1799 r. znaleźli się pod murami nadzwyczaj silnie ufortyfikowanej twierdzy Gaety. Dąbrowski, który objął komendę nad tym oddziałem, widział się zmuszonym, w braku ciężkiej artylerji, wstrzymać pochód, gdy ku ogólnemu zdziwieniu warownia wywiesiła białą chorągiew.

Nazajutrz, drugi nasz oddział pod Książewiczem zdobył Traette, przyczem zabrano pyszną stadninę króla Ferdynanda neapolitańskiego, co dało wreszcie możność zorganizowania dawno projektowanego i upragnionego legjonu kawalerji, naszej przyrodzonej broni, w której nie mamy dotąd równych na całym świecie, okrytej chwałą w niezliczonych bojach, z których Psie pole, Grünwald, Kircholm, dwukrotnie Chocim, Beresteczko i Wiedeń byłyby już więcej jak dostateczne do wiecznej sławy. Dowództwo nowo-tworzonego legjonu powierzono generałowi Karwowskiemu.

Położenie wojsk zwycięskich nie było jednak tak dobre, jakby się to zdawać mogło, ponieważ wybuchło groźne powstanie

ludowe, z którem walka była straszną, bo do powstańczych partji zbiegli się osławieni włoscy rozbójnicy, — bandyci, którzy z natury swego dotychczasowego rzemiosła znali znakomicie przeważnie górzystą i leśną miejscowość, doskonale nadającą się do partyzantki.

Co chwila, w dzień i w nocy były regularne wojska nękanie niespodziewanemi napadami, urywaniem pojedynczych oddziałków i odcinaniem transportów żywności, furazu i amunicji. Takimi ciągłemi alarmami zmuszali powstańcy przeciwników do nieustannego czuwania z bronią w ręku, co nadzwyczaj nużyło i wycieńczało żołnierza. Prócz tego odznaczali się powstańcy wiarolomstwem i strasznem okrucieństwem, którego ofiarą padł między wielu innymi dzielny Eliasz Tremo w Traecie. Za karę miasteczko to w parę miesięcy potem zostało doszczętnie zburzone i zrównane z ziemią.

Wśród ciągłych potyczek doszła armja do stolicy nieprzyjacielskiej, Neapolu, i 23 stycznia 1799 r. zajęła to miasto.

Jak świetnie odznaczyli się nasi w tej kampanji, najlepiej dowodzi fakt, iż zaszczyt odwiezienia do Paryża zdobytych sztanda-

rów przyznał naczelny wódz polakom, powierzając to posłannictwo najbardziej zasłużonemu, Kniaziewiczowi, który prócz tego, przed spełnieniem jeszcze szczytnej misji, otrzymał od dyrektorjatu odezwę, wysławiającą bohaterskie czyny osobiste generała i jego podkomendnych.

Podniosło to ogromnie ducha w szeregach, a wraz z przyjęciem, jakie zgotowano w Paryżu naszej deputacji, odwożącej sztandary zdobyte, było pierwszym publicznym tryumfem polaków, zamąconym jednak przez odezwanie się jednego z dyrektorów, Barras'a, który, odpowiadając na przemówienie Kniaziewicza, za ledwo przy końcu swej mowy raczył coś o nas wspomnieć.

Takie umyślne lekceważenie, wprost nawet brutalność, wywarła bardzo przykre wrażenie, zaciemniając jasność chwili. Tak więc, nawet wtedy, gdy okazywano nam głośno uznanie, mogące być niejako rękojmią spełnienia nadziei, złośliwy los jednocześnie dolewał krople goryczy.

Po tym tryumfie nastąpiły czasy klęsk i nieszczęść, które już prawie stale aż do tragicznego zakończenia na San-Domingo towarzyszyły tym wielkim ofiarom miłości

ojczyzny. Po tylu już doznanych, a w przyszłości jeszcze liczniejszych zawodach, na myśl samą, że może jednak zajść coś, co im pozwoli bodaj za cenę życia dorzucić choć jedną tylko cegiełkę do odbudowania ojczyzny,—umieli nasi bohaterowie w oka mgnieniu precz odrzucić zniechęcenie i znów o chłodzie i głodzie walczyć i ginąć za cudzą sprawę na obcej ziemi.

Pomimo strat w bitwach, szeregi nie tylko nie rzedyły, lecz przeciwnie — gęstniały, gdyż nie tylko ci, co się już dotąd poświęcili, lecz coraz nowi straceńcy, wyrzekając się swego „ja”, napływali z kraju i z wrogich szeregów austriackich, nie zważając ani na niedolę i zawody, oczekujące ich w szeregach, ani na zakazy rządów zaborczych, grożące ciężkimi karami za samą chęć podążenia pod sztandary legionów.

Dwie tylko były okoliczności, które mogły dać impuls ku garnięciu się do legionów, a mianowicie: 1) było rzeczą więcej jak pewną, że legjony zwrócone będą nie przeciw włochom, a austriakom, wobec tego, że najlepsze siły francuskie popłynęły wraz z Bonapartem do Egiptu, a cesarskim przybyli na pomoc rosjanie, dowodzeni przez

wysoko utalentowanego feldmarszałka Suworowa, i 2) ponieważ przeciw Francji stała nie tylko Austria lecz i Rosja, można było spodziewać się, że wobec tego wystąpienia dwóch państw zaborczych musi rzeczpospolita we własnym interesie uczynić coś stanowczego dla Polski.

Horoskop przyszłej kampanji był teraz dla Francji bardzo niepomyślny. Miejsce tak genialnego i żelaznej ręki wodza, jak Bonaparte, objął niezdarny Scherer, który wraz ze swym sztabem zajmował się intrygami, a nie wyrobieniem planu wojny; siły zaś francuskie zmniejszyły się liczebnie i jakościowo. Za to przeciwnie, zwiększone korpusem rosyjskim, otrzymały zamiast miernot niemieckich,—Suworowa. Jednym słowem, szanse Francji odrazu zmniejszyły się przerażająco.

Na początku wojny pierwszy legjon wraz z dwoma brygadami francuskimi oddany pod dowództwo Dąbrowskiego, przeznaczony został do utrzymania łączności między armją południową *), a główną północną. Drugi legjon pod wodzą Rymkiewicza wcho-

*) t. j. tą, która działała przeciw Neapolowi

dził w skład tej ostatniej, lecz podzielony między francuskie korpusy.

Zaraz w pierwszej bitwie, pod Legnano, świetnie się odznaczyli legjoniści, i śmiało rzec można, że oni jedni uratowali honor armji republikańskiej, tracąc za to tysiąc walecznych w zabitych i rannych.

Pomimo rad i nalegań strategika tej miary, jak Moreau, który, niestety, był wówczas podkomendnym Scherera, opuścił tenże silną pozycję pod Weroną, wskutek czego został w kilka dni potem na głowę pobity przez austriaków pod Magnano, pomimo bohaterstwa legjonu, które w zdumienie wprowadziło walecznego Moreau i dało awanse wielu oficerom, a rangę generała brygady Rymkiewiczowi, w kilka godzin potem śmiertelnie ranionemu, przyczem przeszło 1000 walecznych ubyło znów z szeregów.

Dopiero po tej klęsce zdecydował się Scherer wezwać na pomoc korpusy Dąbrowskiego i Macdonalda. Wskutek wybuchu powstania w Toskanji ledwo się mógł nasz wódz przedrzeć do tego ostatniego, a w trakcie tego usunięto wreszcie Scherera, zamieniając go przez generała Moreau. Ale i on nie był już teraz w stanie, mając rozbitą,

zdemoralizowaną armję, polepszyć położenia. Zwyciężony dwukrotnie w zapasach z wojskami rosyjskimi i austriackimi, pod Cassano i Marengo, zmuszony został cofnąć się ku Genui, do Fondi.

Suworow, dowiedziawszy się o zbliżaniu Macdonalda z Dąbrowskim, a nie chcąc dopuścić ich do połączenia się z korpusem Moreau, wyruszył przeciw nim. Spotkanie nastąpiło nad brzegami Trebii, gdzie 3 dni ważyły się losy bitwy, a polacy cudów męstwa dokazywali. Dąbrowski, dwukrotnie otoczony przez nieprzyjaciele, ledwo został uratowany od niewoli, raz przez swych kawalerzystów, drugi—przez francuskich grenadierów. Odwrót zasłaniaли polacy, tracąc znowu w tym boju 1000 ludzi.

Po takich stratach reorganizacja legjonu stała się koniecznością. Nowozaciężnych tym razem dostarczyły specjalnie w celu werbunku urządzone zakłady.

Drugi legjon znalazł się w twierdzy Mantui, która w maju 1799 r. otoczona została przez nieprzyjaciół. Komendantem jej był generał Foissac-Latour, który początkowo dzielnie i umiejętnie się bronił. Dostatek żywności i amunicji oraz zbliżanie się Mac-

donalda ułatwiło mu znacznie zadanie. Lecz wśród sprzyjających okoliczności nastąpił niewytłumaczony zwrot w umyśle kometanta; nie wyzyskał ich, jak powinien był i mógł, a po porażce nad Trebią, austriacki dowódca, Kray, energicznie się wziął do oblężenia. Gdyby jednak nie Foissac-Latour, położenie twierdzy nie byłoby złe, lecz on działał wciąż niedołężniej, nie przyjmował żadnych rad i częstokroć nakazywał opuszczać stanowiska, zupełnie możliwe do utrzymania.

I tutaj, jak wszędzie zresztą, walczyli nasi, jak lwy; lecz cóż zdziałać mogły nawet cuda męstwa tam, gdzie wódz planowo dążył do poddania, które w początkach dumnie odrzucił. Pierścień oblężniczy z dnia na dzień się zacieśniał. W razie poddania się na łaskę i niełaskę położenie polaków byłoby fatalne, zważywszy, że większość ich byli to jeńcy i dezercerzy armji austriackiej, to też oświadczone komendantowi, że polacy wysadzą się w powietrze, jeśli w warunkach kapitulacji los legjonu nie będzie specjalnie obwarowany. Zaczęły się pertraktacje.

Po 3 dniach stanęło na tem, że oficerowie

pójdą do niewoli, skąd po 3 miesiącach będą uwolnieni na słowo honoru, że do końca wojny nie obnażą swych szpad przeciw Austrii, a za to wszyscy podoficerowie i szeregowcy zostaną odesłani do Francji z takim samym warunkiem. 30 lipca nastąpiło oddanie twierdzy zdobywcom.

Gdy wojska już wyszły z twierdzy i złożyły broń, kazano wystąpić naprzód legjonistom, których wnet otoczyli wrogowie, oddzielili jak najbrutalniej oficerów od niższych stopni i odprowadzili na stronę. Po chwili ogólnego osłupienia Kosiński i Królikiewicz rzucili się po wyjaśnienie do wodza nieprzyjacielskiego, który ich oburzonym oczom okazał dodatkowy punkt kapitulacji o następującem brzmieniu: „zbiegowie austriaccy zostaną wydani, każdy z osobna pułkom i bataljonom, do których należeli. Naczelnie dowodzący armją cesarską zabezpiecza im życie”.

Sądny dzień nastał wśród legjonistów po usłyszeniu tego wyroku. Biedni zapaleńcy, ani się mogli spodziewać, że bodaj gorzej jeszcze dźać się będzie, że za ich męstwo i ofiary nie tylko „Bóg zapłać” nie usłyszą, lecz potraktowani zostaną jak kry-

minaliści. Na skutek oburzenia i perswazji wydał generał Kray jeńców, należących do innych zaborów. Odprowadził tedy pułkownik Aksamitowski 200 ludzi do Lyonu, nadto kilkudziesięciu uratowali francuzi, towarzysze broni, przebrawszy ich w swoje mundury. Reszta poszła pod cesarski karabin.

Dziwne były zaiste zrządzzenia złego losu, który w chwilę po zadaniu straszliwego, ale zarazem otrzeźwiającego ciosu, błyskał nową nadzieją, igrając nami, jak kot myszą. Zdawałoby się, że poprzysiągł sobie doszczętnie wygubić tych, którzy więcej niż ktokolwiek godni byli lepszej doli, zapalał bowiem gwiazdę nadziei wtedy, gdy zniechęcenie i oburzenie ogarniało nawet najwytrwalszych. Tak się też znowu stało po ostatnim, najniespodziewańszym gromie pod Mantuą.

Kielkujące już oddawna we Francji niezadowolnienie z dyrektorjatu wzmogło się wówczas ogromnie. Dopóki wojny były zwyciężkie, kraj, milcząc, znosił wywołaną przez nie biedę i zastój; lecz gdy zamiast wawrzynów ujrzano klęskę, zaczął się silny, jawny ferment, który w pierwszym rządzie

wywołał wezwanie Bonapartego z Egiptu, gdzie zginął nasz genialny Sułkowski.

Gdy tylko imię ulubionego zwycięzcy rozległo się we Francji, rzucił się lud cały do broni, aby ruszyć na pomszczenie klęsk odrazu na trzy teatry wojny: włoski, szwajcarski i niemiecki.

Wtedy to znów raczono sobie przypomnieć o tych, z którymi tak haniebnie postąpiono w Mantui. Zaczęły się uniesienia nad męstwem i zasługami Polaków i poruczono Kniaziewiczowi organizowanie nowego legjonu w celu wzmocnienia armji działającej na niemieckim teatrze wojny pod wodzą Moreau. Nowa kreacja otrzymała nazwę „legjonu Naddunajskiego”.

Ha! nic dziwnego: „jak bieda, to do żyda, jak po biedzie to...” Przysłowie to sprawdzało się teraz jaknajjaskrawiej. Ależ, gdybyż to jedno tylko; gorzej pono, że nie mniej jaskrawo zastosować można do nas było drugie jeszcze o tem, kiedy to Polak mądry bywa!

Sypnęli się tedy znów ze wszech stron jeńcy austriaccy i inni ochotnicy, a i oficerów nie brakło, bo w samym Paryżu bawili tej miary wojskowi, jak: Sokolnicki, Fiszer,

Drzewiecki, Kossecki, nie mówiąc już o wielu innych. Zwykły brak funduszków przeszkadzał do szybkiego postawienia legjonu na nogi. Francji bowiem za mało było samej naszej krwi, chcąc dostąpić zaszczytu jej przelewania za francuzów, musieliśmy sami na to łożyć, aby wszystko ku temu przygotować.

VI. Kawalerja legjonów. Reorganizacja.

Bonaparte nadspodziewanie szybko zjawił się we Francji, i przewrót państwowy nastąpił tuż potem:

10 listopada 1799 r. wstąpił zwycięzca z pod Rivoli i Arcole na przedostatni szczebel drabiny, prowadzącej do cesarskiej purpury: — został jednym z 3 konsulów, którzy zastąpili obalony dyrektorjat. De facto stał się on już wtedy dyktatorem, nieograniczonym władcą republikańskiej Francji.

Podczas gdy się to działo, Kniaziewicz, Wybicki, Fiszer i inni nie szczędzili trudu, by nie tylko zorganizować legjon, lecz i wpoić weń ducha narodowego. — Organizacja rozpoczęła się w Phalzburgu, dokąd

zbiegło się wkrótce parę tysięcy ochotników, ale nie mieli nietylko broni i mundurów, lecz wielu z nich nawet obuwia i bielizny.

W takich to warunkach zastał legion rozkaz wyruszeniu do Metz wśród trzaskającego mrozu; a przecie półnogie szeregi doszły do miejsca przeznaczenia w całkowitym komplecie.

Dzięki temu, że w Metz dano legionistom broń, a księżna Sapieżyna nadesłała znaczną sumę na ich potrzeby, została legja w marcu 1800 r. wyekwipowana i, nie czekając nawet na ostateczne zorganizowanie kawalerji, ruszyła pod wodzą Kniaziewicza nad Ren i zajęła szanśce w Kehl.

Na samym początku nowej działalności ponieśliśmy wielką stratę przez dostanie się do niewoli Fiszera, opuszczonego przez francuską jazdę w chwili, gdy się przebijał przez zastępy wrogów.

Prócz tego i tutaj zaczęły się rozterki i intrygi, które zaszły tak daleko, że udało się ciemnym żywiolom chwilowo poróżnić Kniaziewicza z Kościuszką, który czynnego udziału w legji nie przyjął. Dzięki prawości i otwartości obu powaśnionych, sprawa

wprędcę się wyjaśniła i zakończyła najzupełniejszą zgodą.

Na nowym terenie bojowym za to, jak zawsze i wszędzie odznaczali się legjoniści swem bohaterstwem i szlachetnością. Pod Berg i Offenbach okrył się legjon sławą; w lipcu zajął Philipsburg, gdzie go dogonił pierwszy szwadron kawalerji, ułanów, budzący podziw całej armji francuskiej swemi lancami, bronią, oddawna na zachodzie zarzuconą, która jednak miała na podobieństwo i śladem swej starszej siostry, husarskiej kopji, rozślawić i nowymi wawrzynami okryć polskich wojowników, zwłaszcza kawalerję w jej nowym, barwnym stroju ułańskim.

Dnia 3 grudnia 1800 r. przyszło do walnej rozprawy pod Hohenlinden, zakończonej straszliwą klęską austriaków. Legjon cudów waleczności dokazał, szczególnie kawalerja, której czyny, historycznie stwierdzone, na bajki zakrawają. Porucznik Kostanecki z 8 ułanami zdobył 6 dział, a szeregowiec Pawlikowski sam jeden wziął do niewoli 57 piechurów. Za ten czyn chciał go Moreau mianować oficerem, a gdy Pa-

wlikowski odmówił przyjęcia zaszczytu ze względu na nieumiejętność abecadła, a nagrodę pieniężną odrzucił ze słowami: „ja się biję dla ojczyzny, a nie za pieniądze!” mianował wódz naczelny dzielnego ułana sierżantem, a rząd rzeczypospolitej ofiarował mu honorowy karabinek.

W tydzień potem, pod Salcburgiem, odkrył legion swój młodziutki sztandar nową chwałą, torując drogę całej armji przez wąwozy i rzekę. Tutaj grenadier z bataljonu Fiszera, Trandowski ściągnął z konia i uniósł z pośród świty ks. Lichtenstein, który, wymieniony zaraz na Fiszera, chciał obdarzyć swego pogromcę, czego ten nie przyjął.

Wobec tego, że armja austro-rosyjska już w końcu września została rozbita pod Zürichem na szwajcarskim teatrze wojny przez Massenn'ę, a stosunki sprzymierzeńców zupełnie się popsuły i rosjanie odeszli, zawarto 20 grudnia rozejm w Steyer, gdzie Austrija wyraziła chęć stałego pokoju bez zważania na zamiary reszty koalicji. Działania wojenne zostały zawieszzone, a zwycięska armja pozostała na zimowych leżach w zdobytych przez się prowincjach.

Tu znów powtórzyła się historia legjo-

nów włoskich. Francuzi rządili się w zajętych kraju po wandalisku, uciskając ludność kontrybucjami i swawolą, gdy tymczasem nasi zachowali się skromnie i spokojnie, czem zyskali ogólne uznanie i szacunek.

I cóż otrzymaliśmy wzamian za krew i trudy? Oto, generał Moreau, mając ofiarowany przez kobiety strasburskie wieńiec laurowy, podzielił się nim z naszym Książewiczem. To i wszystko! Mowy nawet nie było, aby coś uczynić dla nieszczęsnego kraju, którego dzieci niosły przez 4 lata tyle ofiar, i to owocnych dla Francji, tyle krwi wylały.

Bonaparte, który prostą drogą dążył do tronu, chciał zbliżenia z Rosją i Prusami, co było koniecznem w jego planach. Czyż więc wobec tego można było marzyć, że kwestja polska nawet podniesioną zostanie?

9 lutego stanął w Luneville ostateczny pokój, mocą którego ocalał Neapol i Toskania nawet, a my? My—za naszą krew, trudy, głód, ofiarność i poświęcenie bez granic, za tysiące ległych i kalek otrzymaliśmy kilka liści wawrzynu! Jakież to wzniosłe

i piękne, z jednej, — nikczemne, z drugiej strony!

Pomimo, iż przy układach nie wspomniano nawet imienia polskiego, nie chciano się jednak nas wyzbywać, bo straceńcy dowiedli, że bez kosztu prawie umieją się przydać. Postanowił tedy pierwszy (już wówczas) konsul, Napoleon Bonaparte, wcielić jedną część legjonów do armji Rzeczypospolitej cisalpijskiej, a drugą, jako gwardję do wojsk króla Etrurji (dawniejszej Toskanii), bo wprost na służbie francuskiej nie chciał ich pozostawić z obawy niechętnych spojrzeń z Berlina lub Petersburga.

Kazał tedy legji dunajskiej ruszyć przez Szwajcarję do Włoch i do tego—pod eskortą jazdy francuskiej, co nawet w jej szeregach wywołało straszne oburzenie. Teraz jedynie poczucie honoru spowodowało pozostanie przy sztandarach, którym się wierność przysięgło.

Poprowadził legjon Sokolnicki, gdyż Książewicz, widząc jasno, że niema się co łączyć, wyszedł do dymisji. W Medjolanie połączyły się legjony, a wodzem dunajskiego mianowano Władysława Jabłonowskiego.

I znów nastąpiła głucha niepewność jutra,

a jednak nie porzucano sztandarów, które niegdyś tyle nadziei budziły, bo jeszcze w tych rozgoryczonych duszach tłała iskra uludy, a w głowach tkwiła myśl, żeby choć śmiercią ulżyć nieco doli kraju rodzinnego, dla którego bezgraniczna miłość przepęłniała serca bohaterów—tułaczy.

W poprzednim rozdziale zaznaczyliśmy o reorganizacji legjonu Dąbrowskiego, który po dopełnieniu bardzo przerzedzonych szeregów znów wyruszył w pochód i zasłonił odwrót armji francuskiej z pod Novi, gdzie generał Joubert rozbity przez Suworowa, własną śmiercią przypieczętował ostateczną przegranę.

Tymczasem powrócił Bonaparte, w Szwajcarji i Niemczech brali francuzi znów górę, a dobre stosunki Austrii z Rosją zaczęły się psuć. Suworow, który gotował się już zadać ostateczny cios francuzom przez zajęcie Genui, rozdrażniony dwuznacznością sojuszników, zażądał odwołania, co też nastąpiło właśnie wtedy, gdy naczelne dowództwo nad armją włoską objął pogromca Neapolu, Championnet. Nim on przybył do wojsk, wojna przybrała formę ciągłych utarczek,

co znów dało pole naszym oddziałom do świeżych odznaczeń.

Polacy, od wieków przywykli do tak zwanego „procederu z tatory” tak barwnie i świetnie opisanego w „Trylogji” Sienkiewicza, znaleźli się teraz w podobnych warunkach. Otrzymali też nazwę „żywicieli”, gdyż umieli, zręcznie podchodząc nieprzyjaciela, zabierać transporty żywności i nękać go ciągłymi alarmami, a wszystko to czynili sami obdarci i głodni, bo Rzeczpospolita cisalpijska cała zalana wojskami, nic im dać nie mogła, a Francja wcale się o los nasz nie troszczyła, zresztą, w tym wypadku i swoim nic nie dawała, sama w kiepskich znajdując się warunkach.

Dzielny Championnet zaczął prowadzić wojnę energiczniej. Pod Bosco zostali austrjacy pobici, do czego nie mało przyczynili się legjoniści, tracąc przytem około 300 ludzi; Jabłonowskiego ledwo wyrwano z rąk wrogów, a Dąbrowski zawdzięczał swe ocalenie książce Szyllera „Historja wojny 30-letniej”, którą, czytając przed bitwą, schował w chwili dosiadania konia do kieszeni: odbiła się od książki kula, która raziła wodza w piersi. 6 listopada 1799 r. za-

grzmiały pod Novi powtórnie działa; armja francuska pomściła poprzednią klęskę, do czego znakomicie przyłożył się Dąbrowski przez wprowadzenie w zasadzkę części sił wroga.

Śniegi w Apeninach zmusiły przeciwników do odpoczynku, lecz głód i chłód nie przestał nękać szeregów, a choroby szcerbić nie gorzej od broni. Zacny, szlachetny de la Roche pośpieszył nam wtedy z pomocą, poruszając niebo i ziemię dla wyjednania legjonom należnej żywności i żołdu, co mu się w końcu udało. W tym samym czasie rozległa się wieść o powrocie Bonapartego, do którego natychmiast pośpieszył Dąbrowski.

Przyjęty nader mile, usłyszał nasz wódz i przedstawiciel, że sprawa polska leży na sercu przyszłego cesarza, że o niej ciągle myśli i napewno nie zapomni, a popierając słowa powierzchownym czynem, już po rozmowie z Dąbrowskim, rozkazał polakom zebrać się do Marsylji, włączyć ich pod nazwą „pierwszej Legji Polskiej” do armji francuskiej i przeorganizować w 7 bataljonów.

Gdy Dąbrowski przybył w maju 1800 r.

do Marsylji, zastał już 4 pełne bataljony; ale oddziały, tworzące dawny pierwszy legjon, pozostałe przy armji czynnej, jeszcze nie zdążyły na punkt zborny z powodu ustawicznych utarczek z nieprzyjacielem.

Tymczasem Bonaparte, przeszedłszy Alpy, dążył z niesłychaną szybkością na pomoc swoim i odrazu zmienił ostatecznie postać rzeczy, gromiąc austriaków pod San-Cipriano, a 14 czerwca 1800 r. rozbijając ich straszliwie pod Marengo.

Generał Dąbrowski, pracujący nad nową organizacją legjonów w Marsylji, postanowił teraz przedstawić nowy plan odbudowania Polski, korzystając z tego, że Paweł I po odwołaniu swych wojsk, jawnie przychylił się na stronę Francji, przez zamiar wkroczenia przeciw anglikom do Indji. Nowy plan polegał na tem, aby, doprowadziwszy legjony do siły 30000 ludzi, wysłać je nad Ren, poczem przedrzeć się przez Czechy i Morawy do Galicji, która cała stanie wtedy w ogniu, a wobec nowej postawy Rosji, a za nią Prus, rządy obu tych państw zgodzą się na ustąpienie swych zaborów za odpowiednie wynagrodzenie w ziemiach tureckich i niemieckich.

Projekt ten powiózł do Paryża Wybicki z Zajączkiem, a generał Massena na prośbę Dąbrowskiego nakazał skupienie sił polskich do Medjolanu, skąd wyruszyły na oblężenie Peschieri, a gdy warownia ta poddała się na zasadzie układu w Treviso, poszły dalej, pod Mantuę, która, z kolei, w myśl traktatu lunevillskiego zajęta została przez szeregi franko-polskie.

Jaki był skutek pokoju w Luneville, a wraz z nim ostatniego projektu Dąbrowskiego, powiedzieliśmy już wyżej.

I znów nas los nie oszczędził i dał drugą lekcję, a dziwniejsze niż kiedykolwiek były jego zrządzania. Oto na odległej włoskiej ziemi walczyły ze sobą, za obcą sprawę dzieci dwóch sąsiednich narodów. Lała się krew polska, lała rosyjska dla wzmożenia potęgi trzecich. I nam i im zapłacono sztyrczym uśmiechem. Dziwne zaiste zagadnienie dziejowe.

VII. Wcielanie legjonów do armji. Wy- syłka na San-Domingo.

Połączone legjony liczyły 13000 ludzi; była to więc wówczas siła poważna, zważasz-

cza, że składała się z żołnierza wyćwiczonego w setkach bitw o wypróbowanem męstwem, pod wodzą oficerów doświadczonych, dzielnych, z których wielu posiadało prócz tego wysokie fachowe wykształcenie i prawdziwy talent. Z takim korpusem wiele można było dokazać, gdyby tylko ci, którzy mogli, szczerze chcieli przyjść nam z pomocą.

Po zawarciu pokoju w Luneville pojawiła się kwestja, czy należy pozostawać na służbie, gdy zniknęła możność i nadzieja walki z nieprzyjaciółmi ojczyzny. Obawiano się, aby nie postawiono legionistów w rzędzie płatnych najemników, gotowych służyć każdemu i za każdą sprawę.

Od myśli gromadnego wystąpienia ze służby odwiódł oficerów głównie Kniaziewicz, przedstawieniem, iż nie wolno im opuszczać żołnierzy, którzy w obecnym stanie rzeczy muszą pozostać na służbie, z tego względu, że w takim razie różne ciemne żywioły nie omieszkają tłumnie wcisnąć się do legionów, a wtedy ich szeregi zamienią się w prawdziwie najemne. W końcu tłomaczył generał powody swej dymisji, której przykład mógł źle oddziaływać na umysły,

tem, że on sam, jako jeden z organizatorów, zmuszony był powrócić do poprzedniego stanu, nie chcąc ściągnąć zarzutu, że ludzi i poświęcał całe tysiące rodaków dla osobistej kariery i wywyższenia. *)

Ten głos dzielnego wojaka i prawego człowieka powstrzymał zamiary wielu, co się bardzo szczęśliwie złożyło, gdyż parę nieprzyjaznych nam pism podmówiło przedtem jeszcze legionistów o chęć przejścia do innej, korzystniejszej służby. Amilkar Kosiński dał również w pismach godną odpowiedź na to nikczemne oszczerstwo, która, poparta powyższym faktem, zmusiła do milczenia głosy oszczercze.

Dowództwo nad armją włoską objął po zawarciu pokoju Murat, który nakazał legji dunajskiej zająć garnizony w królestwie Etrurji, nie wyjawiając nic o przyszłych losach, a 31 grudnia 1801 r. legjony zostały urzędowo rozwiązane i przeorganizowane w 3 półbrygady francuskie: 112-tą, 113-tą i 114-tą.

*) Gdyby kto uczynił zarzut, że jednak główny twórca legionów, nie uczynił tego, niech zechce przypomnieć sobie o wspomnianej w rozdziale IV przysiędze Dąbrowskiego.

Rozporządzenie to wywołało ogromne wzburzenie umysłów, które o mało nie doprowadziło do zbrojnego oporu, z trudem zażegnanego przez Dąbrowskiego.

Niezmordowany ten patriota, wódz, organizator i projektodawca zdążył już wygotować nowy projekt działalności legionów i przedłożyć go w Ljonie Bonapartemu. Z uwagi na ambitne zamiary Rosji na wschodzie, udowadniał Dąbrowski w swym planie konieczność przeciwdziałania, przez utworzenie rzeczypospolitej siedmiu wysp na morzu Jońskim. Na ten cel należy użyć legjony, co w niczem nie narazi Francji, gdyż poświęcony zostanie korpus cudzoziemski, którego istnienie podczas trwałego pokoju jest bezcelowe, bo pozbawione podstawy egzystencji, a więc racji bytu.

Projekt ten, bardzo zresztą fantastyczny, poszedł za poprzednimi, mówiąc dzisiejszym językiem „do kosza”, a z legjonami poradzono sobie szybko, a tak nieludzko, że nawet najwięksi pesymiści niepomrotnie się zdumiali.

Legję załogującą w Etrurji również zorganizowano w dwie półbrygady, a już 1 kwietnia 1802 r. wyszedł rozkaz wysła-

nia 113-ej półbrygady na wyspę San-Domingo. Była to pierwsza odsłona ostatniego aktu.

Jeszcze przed obwieszczeniem tego dra-końskiego rozporządzenia, które swem barbarzyństwem i naigrawaniem się z najelementarniejszych praw ludzkich, rywalizowało z rozkazami osławionego Nerona, wielu oficerów podało się do dymisji, a między nimi: Wielhorski, Fiszer i Drzewiecki. Wskutek skandalu wywołanego przez szefa brygady, Aksamitowskiego, skompromitowanego fałszywą denuncjacją o tworzącym się jakoby spisku wojskowym, którą zwał na Kosińskiego, ten ostatni, tknięty do żywego zażądał uwolnienia. Tak więc z organizatorów legionów pozostał we Włoszech, jedynie, wierny swej przysiędze, Dąbrowski, jeszcze się łudzący nadzieją uratowania swego dzieła. 18 maja 1802 r. wypłynęła półbrygada z fortu Livorno. Ten sam los spotkał 114-ą półbrygadę, wyprawioną 4 lutego 1803 r. z Genui dla poszukania sobie grobów na dalekim zachodzie. Pozostałe oddziały polskie byłyby napewno podzieliły los towarzyszków, gdyby nie anglicy, którzy tak energicznie wzięli się do ścigania na

morzu każdej francuskiej łodzi, że o dal-
szem wysłaniu wojsk na San-Domingo mo-
wy być nie mogło. Wcielono tedy legjoni-
stów do wojsk włoskich, z którymi dzielili
złą i dobrą dolę aż do upadku Bonaparte-
go, za wyjątkiem tych, którzy w 1807 r.
weszli do legji Nadwiślańskiej i wojsk Księ-
stwa warszawskiego.

Okropnym był los nieszczęśliwych, wysła-
nych na San-Domingo, którego sama nazwa
i dziś jeszcze przejmuje dreszczem grozy
i oburzenia.

Wyspa ta, dziś Haiti zwana, zaludniona
przeważnie przez murzynów, wówczas nie-
wolników, pozostających w okrutnym ucis-
ku, należała wtedy do Francji. W 1790 r.,
gdy nadzieje biednych niewolników, wzbu-
dzone konstytucją, spełzły na niczem, wy-
buchło powstanie, którego już nie mogło u-
gasić postanowienie konwentu zniesienia
nieweli. Ambitny murzyn, Toussaint-Lou-
verture postanowił wyłamać się z pod wszel-
kiej władzy; wybuchła tedy wojna na śmierć
i życie.

Dla pokonania czarnych wysłano genera-
ła Leclerc ze znacznemi siłami, które chwi-
lowo stłumiły powstanie, lecz w kilka mie-

sięcy potem wybuchło ono ze zdwojoną siłą, a co gorzej, żółta febra zaczęła straszliwie grasować wśród europejczyków, roznosząc śmierć szybciej, niż szable i kule; kolonialne zaś pułki, złożone z krajowców, przechodziły raz wraz do powstańców, którym przywoził odważny, okrutny, a zdolny murzyn, Dessalines.

Leclerc zażądał przysłania posiłków, co też uskutecznił, wyprawiając naszych tułaczy do niego z zaleceniem, aby zostali rozmieszczeni w różnych oddziałach. Traktowano nas więc na dobitkę, jak zdrajców.

Zaczęło się istne męczeństwo polaków. Zanim na ląd wysiedli już 200 zapadło na żółtą febrę, a zaraz po wylądowaniu, uskutecznił w trzech różnych punktach, rzucano bataljony w bój, wcielając każdy z nich według pomienionego rozkazu do innego oddziału.

Wycieńczeni długą morską podróżą, podczas której brakło żywności i wody, dieściskowani przez żółtą febrę, bili się jednak ci przybysze z nad płowej Wisły, jak lwy, a ludzkością swą i tutaj zdobyli sobie uznanie i szacunek przeciwników, zwłaszcza stanowczem oparciem się w Saint-More rozka-

zowi generała Quentin, wybić do nogi 12-ty bataljon kolonialny, złożony z murzynów, podejrzanych o zdradę, wobec czego katowską funkcję wypełnił oddział francuski.

Położenie francuzów stawało się co chwila gorsze: musieli oni coraz to nowy punkt opuszczać, aż niepowodzenie podkopało zdrowie Leclerc'a, a gdy się do tego przyłączyła febra, wódz naczelny rozstał się z tym światem.

Miejsce zmarłego objął Rochambeau, który zaczął swe rządy od niesłychanej srogości i okrucieństw; lecz środki te zawiodły i sprawiły tyle tylko, że rozwścieczeni napół dzicy murzyni, płacili pięknem za nadobne.

W marcu 1803 r. zaczęły przybijać do San-Domingo okręty, wiozące 114-tą półbrygadę. I jej bataljony, przybyłe niejednocześnie, ruszyły w bój oddzielnie i każdy pod inną komendą.

Niepowodzenia zwiększały się co chwila; liczba wojsk topniała, a co przeszli nasi, to łatwo poznać z cyfr: z 5000 wysłanych z Francji w lipcu 1803 r. pozostało — 1196, t. j. niespełna czwarta część.

Los francuzów, a z nimi i legjonistów został ostatecznie rozstrzygnięty, gdy flota angielska otoczyła wyspę, nie dopuszczając do jej wybrzeży żadnego okrętu. Czego nie zniszczyła febra i murzyni, dokonał głód.

W listopadzie t. r. ostatnie pozycje francuskie wpadły w ręce czarnych, a Dessalines, nie znający litości dla francuzów, przyjął polaków, jak braci, i pozwolił (życzącym sobie tego) przyjąć obywatelstwo ogłoszonej przez siebie rzeczypospolitej; z tego skorzystało około 200 legjonistów, a reszta tych, co się poddali Dessalinesowi, wróciła w 1805 r. do kraju. Gorszy był los tych, co wraz z korpusami Rochambeau i Bruneta poszli w niewolę angielską, a było ich prawie 600. Dopiero w 1809 r. i to garstka tylko wróciła do ojczyzny po przebyciu ciężkiej niedoli na angielskich pontonach, gdzie reszta zmarniała.

Tak się skończyła epopeja legjonów!

We Włoszech, Niemczech, Szwajcarji, w nurtach mórza i oceanu, na wyspie Haiti—spoczywają ci, którzy nie deklamacją, nie krzykami, a czynem dowiedli swej miłości dla ojczyzny, a krwią serdeczną ją przypięczętowali.

Cześć cichym, bezimiennym bohaterom, którym równych znaleźć prawie w historii niepodobna!

Cześć tym, co tylekroć razy zawiedzeni, wytrwali do wzniosłego końca na raz obranym szlaku bez względu na to, co ich na nim spotykało. Dali oni wielki, dziejowy przykład całemu naszemu narodowi, jak się powinno kochać ojczyznę, a zarazem naukę, że nie należy ślepo ufać obcym, budować na ich obietnicach i szafować dla nich krwią i mieniem.

Tak, dostaliśmy wtedy nową lekcję, straszną, krwawą, kosztem ofiar z najlepszych synów tej ziemi. A jednak nie skorzystalismy z niej i w najbliższej zaraz przyszłości, i po dziś dzień!

CZĘŚĆ II.

VIII. Zwrot w losach. Czartoryski.

Gdy resztki nadziei i złudzeń pierzchały i nikły, jak zwodnicze błędne ogniki, gdzieś daleko na krwawych polach zachodu i amerykańskiej wyspie, — szczególnem zrządzeniem losu zaczęły odżywać tam, gdzie najmniej się tego można było spodziewać, — na przeciwnym wprost biegunie, na północy — w Petersburgu.

Wiemy już, że śmierć Katarzyny II przyniosła poważne zmiany w postępowaniu z polakami w zaborze rosyjskim. Aczkolwiek Paweł I zaczął w końcu nas podejrzewać, lecz już 23 czerwca 1801 r. zakończył życie niemal wśród przygotowań do wojny z Anglią; tron po nim objął najstarszy syn, Aleksander.

Młody cesarz, z początku marzyciel i idealista, będąc jeszcze następcą tronu, snuł wielkie projekty uszczęśliwienia swych poddanych. Stosownie też do tych zamiarów zaczął swe rządy.

Najmilszym towarzyszem lat młodzieńczych i najzaufańszym powiernikiem Aleksandra I był książę Adam Jerzy Czartoryski, który wraz z bratem przebywał na dworze petersburskim od czasów panowania Katarzyny II, a zanim wnuk jej włożył koronę, już młody książę, znający tajniki jego serca, starał się o dobór ludzi, którzyby godnie dopomogli przyszłemu swemu władcy w urzeczywistnieniu jego trudnych, a wzniosłych projektów.

Gdy w umyśle Pawła I powstał pomieniony zwrot anti-polski, wywołany głównie tem, że w wojskach „jakobinów”, jak powszechnie w Rosji nazywano francuzów, walczyli polacy, przyjaźń jego syna i następcy z ks. Adamem, zaczęła go drażnić a chcąc ją zerwać, wysłał Czartoryskiego w końcu 1799 r., jako posła, na dwór sardyński. Tam przebył książę do chwili, gdy cesarz Aleksander I zaraz po wstąpieniu na tron wezwał go do swego boku.

Po powrocie do Petersburga cesarz mianował przyjaciela towarzyszem ministra spraw zagranicznych, a ponieważ ministrem był stary, znękanym wiekiem i życiem, ks. Woroncow-Daszkow, — cały zarząd ministerjum znalazł się de facto w rękach naszego młodego a wybitnego męża stanu.

Obok wielkiej prawości i wysokich zdolności był ks. Adam wielkim patriotą, o czem najlepiej świadczy jego utwór poetycki „Bard polski”. Posiadając tedy przyjaźń i całe zaufanie cesarzewicza, czuł dobrze i rozumiał, jak wielkiej wagi i doniosłości dla ojczyzny są te jego atuty.

Oto dlaczego nadzieja, która zgasła tam, gdzie z natury samych wypadków politycznych winna była błyszczeć i ziścić się, zajaśniała z przeciwnej strony, w przeciwnym obozie.

Reformy swe rozpoczął Aleksander I od podniesienia oświaty w całym państwie, która, zwłaszcza wśród niższych warstw społecznych, stała na zerze, a wśród uprzywilejowanych była powierzchowną okrasą i polem, a nie czemś gruntownem.

Dla poprawienia tego stanu rzeczy podzielono całe państwo na okręgi naukowe,

a w każdym z nich uniwersytet pod opieką i kierunkiem kuratora danego okręgu był ośrodkiem i świecznikiem, w promieniach którego liczne szkoły średnie i niższe miały szerzyć wiedzę i oświatę.

Kuratorem wileńskiego okręgu, obejmującego prawie cały zabór rosyjski został Czartoryski z pozostawieniem jednocześnie na swem ministerjalnem stanowisku. Nie mogąc wskutek tego ciągle osobiście śledzić za skutkami reformy, umiał dobrać sobie do pomocy ludzi, którzy umiejętnie i żarliwie spełniali swe zadanie. Byli nimi: ksiądz Hieronim Stroynowski, mianowany rektorem uniwersytetu wileńskiego, i Tadeusz Czacki, — wizatotorem szkół w guberniach: wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej. Pierwszy z nich postawił pomieniony uniwersytet na bardzo wysokim stopniu rozwoju, kaptując dlań wielu znakomitych profesorów; drugi zaś, obok prac nad ogólnem podniesieniem oświaty, zasłużył się wielce przez założenie liceum w Krzemieńcu za radą i przy pomocy Kołłątaja, który dzięki protekcji i wpływom Czartoryskiego, został uwolniony z więzienia w twierdzy ołomuńskiej.

Podniesienie oświaty było olbrzymią zasługą ks. Adama, gdyż takowa we wszystkich trzech zaborach znajdowała się dotąd w najopłakańszym stanie. Zasługa tem większa, że w szkołach wileńskiego okręgu wykładowym językiem był polski,—a same szkoły były narodowe, podczas, gdy w zaborze austriackim — łacińsko-niemieckie, a w pruskim — wyłącznie niemieckie, przy tem nadzwyczaj zaniedbane i nieliczne.

Podniesienie poziomu umysłowego i zupełne zaniechanie prześladowań wpłynęło dodatnio tak na stan moralny, jak i materialny, gdy w pozostałych zaborach i jeden i drugi posuwały się szybko wstecz, czemu złe rządy ochoczo dopomagały, protegując rozpustę i ułatwiając zdobywanie nań środków przez ułatwienie kredytu.

Czartoryski nie ograniczył się na samem wprowadzeniu do kraju ojczystego reform ogólnopaństwowych. Chciał on coś więcej uczynić—i dążył do zakreślonego celu tak wytrwale, że nawet wtedy, gdy wszystko zdawało się pogrzebanem, on rąk nie opuszczał. A ponieważ miał umysł trzeźwy, wysoko utalentowany, charakter dzielny i prawy, a serce gorąco kraj ojczysty ko-

chające, projekt przezeń powzięty był dobry i racjonalny. Wieleśmy stracili na tem (a i Rosja również), że przeciwne okoliczności, prusacy i chwiejny charakter Aleksandra I nie dały mu się ziścić.

Ks. Adam należał do tajnego komitetu, który pod osobistem przewodnictwem monarchy odbywał narady i rozstrzygał najpoważniejsze i najżywotniejsze kwestje państwowe; musiała więc tutaj sprawa polska zająć wybitne miejsce, zwłaszcza iż młody monarcha chętnie myślał o wymierzeniu sprawiedliwości narodowi tak ciężko pokrzywdzonemu.

W celu rozwiązania tego zadania podał Czartoryski dwa plany: 1) aby z ziem polskich utworzyć niezależne królestwo pod dziedzicznym zarządem brata cesarskiego, w. ks. Michała; 2) aby nadać zjednoczonym ziemiom polskim konstytucję 3 maja, zupełnie osobną administrację i wojsko i połączyć z Rosją przez unję osobistą, t. j. obwołać cesarza rosyjskiego dziedzicznym królem polskim.

Pierwszy plan z powodu iż sami Rosjanie niechcieliby się nań zgodzić dobrowolnie, Aleksander I odrzucił, a zaakceptował dru-

gi, wyrażając tylko wątpliwość, czy zgodzą się nań Prusy i Austria, a nawet reszta Europy, z uwagi, że projekt ten, olbrzymio wzmacniając Rosję, zagroziłby owej po dzień dzisiejszy tak niby skrupulatnie przestrzeganej równowadze politycznej (=przewadze niemieckiej). Zarzut ten odparł ks. Adam argumentem, że wobec spodziewanych z dnia na dzień wypadków dziejowych i zamiarów Bonapartego, to, co dzisiaj zdawałoby się wprost niewykonalnem, stanie się jutro łatwem do urzeczywistnienia. Przewidywanie te, zupełnie do tego słuszne, jak to się pokazało, opierał Czartoryski na tem, że Europa, która bardzo wiele obiecywała sobie po pokoju w Luneville i Amiens, zawiodła się ogromnie w swych nadziejach.

Zwycięski pierwszy konsul nic sobie nie robił z nikogo i niczego, rządził się we Francji i Włoszech, jak w swym prywatnym majątku, i prowadził tak wyzywającą politykę, że nikt nie mógł się czuć pewnym jutra. Z tego powodu jakiś nienormalny, gorączkowy nastrój ogarnął całą Europę, znajdującą się jakby na wulkanie.

Przy takich warunkach wybuch był koniecznością, a wtedy nie trudno będzie o spo-

sób, aby niemcy zwrócili swe zabory wobec tego zwłaszcza, iż jedyne w ostatnich latach zwycięstwa nad Francją były dziełem wodza i wojsk rosyjskich. Co się zaś tyczy postawy polaków, łatwo ją było określić. Wyzyskani, zawiedzeni, a w końcu zmaltretowani przez Francję, sami chętnie się zwrócą do Rosji, gdy ta swą dłoń do nich wyciągnie, zważywszy do tego, iż próby zwrócenia się do Prus i Austrii spelzły w zarodku na niczem, a nadto postępowanie cesarza Pawła I i Aleksandra I było o wiele szlachetniejsze i lepsze, niż monarchów austriackich i pruskich, choć Fryderyk Wilhelm III, widząc zmianę kursu polityki rosyjskiej — zaraz i u siebie pofolgował. Wszystko razem zbliżało polaków do rosjan i czyniło grunt podatnym bardzo do wykonania projektu ks. Adama.

Warunki, dopiero co omawiane, złożyły się nader szybko, a że nie uwieńczyły się takim zakończeniem, jakiego pragnął i jakie przewidywał Czartoryski, to już nie stało się ani z jego, ani z naszej winy, jak to się okaże w następnym rozdziale. I tu jednak było i jest wiele zdań, że pomimo zawiedzionych nadziei, które nasi dziado-

wie pokładali w cesarzu Aleksandrze, nie powinni się byli dać porwać Napoleonowi, zwłaszcza na takich warunkach.

IX Intrzygi Prusaków. Zniweczenia planów Czartoryskiego. Koalicja monarchów.

Bezwzględna polityka Bonapartego i jego dążenie prostą drogą do ukoronowanego samowładztwa, zaczęła bardzo niepokoić Anglję, która zamiast oczekiwanego osłabienia Francji, ujrzała po tylu zabiegach: wycieńczenie Austrii, dwuznaczność Prus i nieprzychylną, a nawet wrogą postawę Rosji. Wobec tego mogli i musieli się przestraszyć intrygancy wyspiarze już nietylko o swój handel, lecz o perłę kolonji — Indje, a bodaj o samych siebie. Zaczęli tedy, swoim zwyczajem, różne knowania i intrzygi, aby znowu stworzyć koalicję i pchnąć ją na Francję, póki to jeszcze było możliwem.

Tym razem skorzystała Anglja znakomicie z dwóch okoliczności: 1) cesarz au-

strjacki *) Franciszek II, obawiał się o swe dominujące stanowisko w Niemczech, 2) Aleksander I bardzo był niezadowolony z całej polityki francuskiej, wpływ bowiem Rosji malał, a pierwszy konsul, nie szczędząc monarsze rosyjskiemu oznak, wyszukanej uprzejmości, umiał dyplomatycznie nie uwzględniać jego życzeń. Ostateczne niezadowolnienie wybuchło w połowie 1803 r., a powiększone jeszcze zostało wypadkami z d. 14 maja 1804 r., w którym to dniu ogłosił się Bonaparte „cesarzem francuzów”, pod imieniem Napoleona I.

Obawy i niezadowolnienie wzrosły jeszcze, gdy nowy monarcha europejski odbył podróż nad Ren.

U steru rządów w Anglji stanął wtedy minister Pitt, dyplomata bardzo zdolny, człowiek śmiały i energiczny, a przytem wróg nieubłagany Napoleona i Francji.— Aleksander I, który, dzięki swemu pokojowemu usposobieniu i doradcom, nie wystą-

*) Tytuł „cesarza austriackiego“ przybrał dopiero Franciszek II w 1806 r., do tego czasu i on i jego poprzednicy mieli tytuł „cesarzy niemieckich“. Określenia „austriacki“ używamy tylko dla jasności.

pił jeszcze otwarcie przeciw Napoleonowi, zawiązał rokowania z gabinetem londyńskim, które szybko i pomyślnie zostały zakończone zapewnieniem ze strony Anglii wypłaty 30-miljonowej zapomogi czynnie przeciw Francji w razie wojny występującym. Następnie, zaczęły się tajne rokowania z Austrią, skutkiem których zawarto 6 listopada 1804 r. w wielkiej tajemnicy zatrzymane austro-rosyjskie przymierze, regulujące sprawy europejskie wraz z kwestją polską, w myśl planu Czartoryskiego; jako odszkodowanie za ustąpienie ziem polskich, miała Austria otrzymać Tyrol, Bawarję i część Włoch, a Prusy, w razie przystąpienia do przymierza i zwrotu zaboru — Meklemburg i księstwo Bergu.

Od dotrzymania tedy warunków przymierza zawisło istnienie potężnego państwa rosyjsko-polskiego, które w dalszym czasie skupiłoby koło siebie wszystkie ludy słowiańskie. Dziwnym trafem, ten przeciw komu to przymierze było skierowane, — Napoleon, nosił się z planem, w polowie identycznym, aczkolwiek nigdy zupełnie otwarcie go nie wypowiedział, lecz dowiódł konsekwentnem postępowaniem w ciągu

7 lat względem Rosji, częściowo zaś wyznał go przed Aleksandrem I w Tylży.

Napoleon chciał zjednoczyć zachód pod egidą Francji, a wschód—Rosji. To ostatnie było mu potrzebnem do zwycięskiej walki z potęgą anglo-germańską. Ponieważ zaś w chwili wyłonienia się tego projektu z mózgu Napoleona, Polska politycznie była niczem, zarówno jak i inne narody słowiańskie, oddawał więc berło Rosji, pomijając nas, jak wogóle zawsze wszystko, co jemu osobiście w danej chwili nie było potrzebnem. Celem projektu było: zgnieść Niemców, wtłoczyć ich w wąskie granice i uśmierzyć raz na zawsze ich wieczne zaborcze zakusy, a następnie zniszczyć potęgę handlową i materjalną Anglii i, jeśli się nie uda dostać na znienawidzoną wyspę, to przynajmniej uczynić z niej nic nieznaczące odosobnione państwo.

Dlatego to nazwaliśmy projekt Napoleona „w połowie identycznym” z artykułami austro-rosyjskiego przymierza, gdyż ostatnie, choć w rezultacie byłoby spowodowało upadek germańskiej potęgi, ale nie miało tego na celu, oraz nie było ani trochę antiangielskiem. Różniło zaś jeszcze i w tem,

że odbudowywało Polskę, o czem Napoleon pomyślał dopiero w 3 lata później, i to przelotnie, a na serjo aż w ośm lat.

Obydwa te plany spełzły na niczem, gdyż i jedna i druga strona popełniała kardynalne błędy, z których świetnie skorzystała niemczyzna, rozumiejąca dobrze, że urzeczywistnienie planu Napoleona grozi jej zgubą natychmiastową, a Czartoryskiego—w późniejszym czasie. A skorzystała tak, że wyszła silniejszą, bardziej niż poprzednio spojona, co doprowadziło z biegiem czasu do tego, że dziś światu całemu butnie rzuca rękawicę, depcząc ciągle prawa narodów.

I Aleksander I i Napoleon popełnili jeden błąd identyczny, a dla nas fatalny; pierwszy nie posłuchał w odpowiedniej chwili rad Czartoryskiego co do Polski, drugi—wyzyskał nasze wypróbowane męztwo jedynie, jako narzędzie swych ambicji, a gdy obydwaj byliby rzeczywiście coś dla Polski uczynili, było już zapóźno. i tacy mocarze nie byli już w stanie tego dokonać, a jeśli nawet cesarz rosyjski miał niejaką możność, to tylko wbrew woli wielkiej części swego narodu i całej prawie Europy.

Wąż pruski umiał korzystać z każdej okoliczności, zniweczyć plan Czartoryskiego i Napoleona, a potem rad był, że chęć i zamiary Aleksandra I unicestwiono we lwiej ich części.

Kierownicy polityki pruskiej, Hangwitz i jego następca, Hardenberg, przeniknęli plan Czartoryskiego i umieli go zniszczyć w chwili, gdy już były przygotowane siły do odebrania zaboru pruskiego przemocą, w razie oporu, a ogłoszenie królestwa polskiego potrzebowało tylko nadania formalistycznych cech urzędowych. Oto co się stało:

11 kwietnia 1805 r. podpisano alians anglo-rosyjski, do którego przystąpiła Szwecja: mizdrzące się tedy do Francji Prusy, (które jednak nic wzamian nie otrzymywały) zostały odosobnione, co podało myśl tak w Petersburgu i Wiedniu, jak i w Londynie, aby wojska rosyjskie zajęły Warszawę. Na tę chwilę oczekiwali tylko pruscy polacy, aby podnieść chorągiew powstania, gdy nagle nastąpił niespodziewany zwrot w umyśle i polityce Aleksandra I, który przy całej swej szlachetności nigdy się nie pozbył wrodzonej chwiejności charakteru, zwłaszcza

w chwilach decydujących, która w dziesięć lat później, na Wiedeńskim kongresie, po raz wtóry fatalnie się na nas odbiła.

Tym razem dał się cesarz Aleksander zwrócić z obranej drogi, usłuchawszy głosu stronnictwa przeciwnego Czartoryskiemu, które przez zaślepienie widziało w nim jedynie polaka jako kierownika polityki rosyjskiej, nie uważając, że ten polak, chciał nie tylko swojej, lecz i ich ojczyźnie przynieść olbrzymi pożytek. Naturalnie, w Berlinie postarano się o rozszerzenie i wyzyskanie tych prądów na swą korzyść, do czego znakomicie przyczynił się zjazd cesarza Rosji z królem pruskim w Kłajpedzie, gdzie związała się osobista przyjaźń obu monarchów.

Prusacy, widząc, że tym razem ich zwykła dwulicowa polityka doprowadziła nie do korzyści, a do odosobnienia, rujnującego powagę i grożącego całości państwa, — uderzyli w pokorę i rzucili się ku Rosji, proponując zjazd monarchów. Propozycję tę przywiózł do Puław, gdzie podówczas bawił Aleksander I, ks. Dołgoruki, koryfeusz stronnictwa przeciwnego Czartoryskiemu, nazwanego „staroruskiem”.

Powodem tej jawnej zmiany frontu prusaków była ta okoliczność, że Napoleon, dowiedziawszy się, co się święci, ze zwykłą sobie szybkością w decyzji i czynie, ruszył ku wschodnim granicom, przeszedł bez ceremonji przez neutralne terytorjum pruskie i uderzył na austriaków pod Ulm, zmuszając ich do haniebnego poddania. To pogwałcenie neutralności dało prusakom przeświadczenie, jak dalece ich nie ma za nic ten, któremu od lat paru nieustannie schlebiali, a historia wskazuje, że gwałci się tylko neutralność tych, których można ignorować, gdy nie mają czyjejs pomocy i poparcia. Znaleźć je mogli prusacy teraz tylko w Rosji z jej sprzymierzeńcami.

Aleksander I zgodził się na przedstawioną przez Dołgorukiego propozycję Prus i prawie natychmiast wyruszył do Berlina. Zjazd ten zakończył się traktatem rosyjsko-pruskim, zawartym 3 listopada 1805 roku, a uroczyście zaprzysięgniętym przez dwóch monarchów u grobu Fryderyka Wielkiego w Poczdamie w obecności historycznej królowej pruskiej, Luizy.

Wypadek ten miał decydujące znaczenie, niwecząc plan Czartoryskiego, a z nim na-

dzieje polaków, którzy, pewni już swego, tłumnie stawili się ze wszystkich zaborów do Puław, rezydencji Czartoryskich, przed cesarza Aleksandra, z adresem, ofiarującym mu koronę Chrobrego.

Cios otrzymany w takiej chwili, odstręczył polaków od Rosji, a popchnął ku Francji. Zawiedzeni wtedy, gdy nadzieje prawie już przyoblekły się w rzeczywistość i to nie gdzieś daleko, a w samym sercu kraju, ci nawet z polaków, którzy nie tylko wskutek świeżej tragedji legjonów, lecz od samego ich związku przeciwni byli udawaniu się pod skrzydła Francji, teraz ujrzeli zbawienie w zwycięskich orłach napoleońskich. A ponieważ, wówczas zwłaszcza, nader rzadko trafiały się umysły, rozumiejące i przekonane, że zbawienie dać może tylko wytrwała praca wewnętrzna i wyczekanie rozstrzygającej chwili, a nie sama pomoc obca, znaleźli się nasi przodkowie w tem położeniu, w którym przyjmuje się pierwszą wyciągniętą dłoń.

Jak się to wkrótce okaże, umiał Napoleon świetnie dla siebie wyzyskać to usposobienie polaków i pchnąć nas na błyskotliwą drogę chwały wojennej, która jemu tylko

przynosiła korzyści, a nam dała wprawdzie masę wawrzynów krwią przesiąkniętych, ale po za tem straty, nieszczęścia, nędzę niemal i zaledwo cień czegoś realnego pod postacią Księstwa Warszawskiego, wywalczonego i rozszerzonego własnymi rękami. W ostatecznym zaś rezultacie — Królestwo Kongresowe.

X. Nowe zwycięstwa Napoleona. Nowe nadzieje Polaków.

Jak to już nadmieniliśmy, Napoleon nie czekał u granicy, aż go zaatakują siły koalicji.

Z pod Ulmu szybko sunął naprzód, zajął Wiedeń, a w 6 tygodni od początku działań znalazł się na Morawach i 2 grudnia 1805 roku pobił pod Sławkowem (Austerlitz) wojska rosyjsko-austrjackie, przy których osobiście znajdowali się obaj cesarze, Aleksander I i Franciszek II.

Piorunowe te zwycięstwa wzmogły do najwyższego stopnia urok Napoleona, który zaczął tak rządzić w zachodniej Europie, jak i we Włoszech. Między innymi na tronie holenderskim osadził brata swego, Hie-

ronima, na neapolitańskim, po zdetronizowaniu Burbonów, — drugiego brata, Józefa, a w połowie 1806 r. położył kres istnieniu cesarstwa niemieckiego, tworząc z 16 państw niemieckich „Ligę Reńską”, której protektorem (zwierzchnikiem) ogłosił się sam.

Wobec tego, Prusy znalazły się znów w fatalnem położeniu. Zaczęli tedy nowożytni krzyżacy korzyć się z jednej strony przed pięścią Napoleona, a z drugiej schlebiać Aleksandrowi I.

Według traktatu poczdamskiego obowiązkiem Prus było pośredniczenie między sprzymierzeńcami a Napoleonem, co właściwie było pokrywką, aby im dać czas do przygotowań zbrojnych. Błyskawiczny pochód francuzów unicestwił tę kombinację, a prusacy skorzystali z pretekstu, aby znów schlebiać zwycięscy. Ten zaś, udając nieświadomego, zmusił ich do podpisania 15 lutego 1806 r. traktatu w Paryżu, który stawiał ich na poziomie lenników Francji, a więc wrogów Rosji i Anglii, Austrija bowiem już 26 grudnia 1805 r. zawarła w Preszburgu pokój z Francją.

Chcąc wydobyć się ze ściskającej ich obryczy, zwróciły się Prusy potajemnie do Ale-

ksandra I z propozycją przymierza przeciw Francji. Cesarz rosyjski wbrew radom Czartoryskiego zgodził się na to. Wtedy ks. Adam, widząc, że nikną ostatnie błyski nadziei, podał się do uwolnienia ze stanowiska ministra; prusacy zaś, pewni pomocy Rosji, wzrosli nagle w pychę i kategorycznie zażądali od Napoleona wycofania jego wojsk z całego terytorium niemieckiego oraz uznania północno-niemieckiego związku pod ich przewodnictwem.

Na te pruską (w danych warunkach) bezczelność odpowiedział cesarz francuzów ogniem działowym. A co się potem stało, zdaje się czemś bajecznem.


Dumna armja junkrów została 14 października 1806 r. najhaniebniej pobita, zmiażdżoną jednocześnie w dwóch miejscach: pod Jena — przez Napoleona, pod Auerstädt przez marszałka Davoust. Bez wystrzału zajęli francuzi Berlin, a najsilniejsze twierdze pruskie poddawały się jedna za drugą, otwierając bramy nieraz przed wezwaniem nieprzyjaciela. W 1½ miesiąca kraj cały, za wyjątkiem rosyjskiego pogranicza był w rękach francuskich, armja pruska prawie nie istniała, król uciekł do

Królewca. Gdyby wówczas istniały koleje, wszystko to byłoby w tydzień załatwione, lecz wtedy nie mogli zwycięscy tak prędko ułatwić prusakom poddawania się.

Gdy Napoleon stanął w Berlinie, przyszła kolej na polaków, którzy teraz byli potrzebni. Dymisja Czartoryskiego zgasła i tę odrobinę nadziei, którą po puławskiej katastrofie mogli opierać na stanowisku ks. Adama i przyjaźni jego z cesarzem Rosji. Gdy tę okoliczność dodamy do spisanych w końcu poprzedniego rozdziału, łatwo zrozumieć, dlaczego polacy tak bez żadnych wahań i zastrzeżeń oddali się Napoleonowi.

Część legjonów, wcielona do armji włoskiej chlubnie uczestniczyła najprzód w walkach z austriakami, a potem z neapolitańczykami, zwłaszcza pod Campo-Tenese, gdy Napoleon osadzał na tronie Neapolu brata swego, Józefa. Następnie wypadło polakom ciężkie zadanie zwalczać powstańców i bandytów, którzy dalej na własną rękę prowadzili partyzancką wojnę. Walka to trudna, a bez sławy, trwała do zdobycia Gaety, choć w górzystych zakątkach Apulji zupełnie nie ustała, toczyła się tylko z mniejszą siłą i na ciasniejszym terenie.

Z Berlina wezwał Napoleon Dąbrowskiego przez specjalnego gońca, przeznaczając generała na organizatora i kierownika już uplanowanego powstania. Prócz tego chciał Napoleon sprowadzić do swego boku Kościuszkę, powaga którego byłaby wielce cesarzowi pomocną; lecz sędziwy wódz, który nigdy nie dowierzał Napoleonowi, a do reszty stracił ufność, gdy ten zamienił Rzeczpospolitą na cesarstwo, — nie chciał przybyć bez otrzymania piśmiennego zapewnienia o odbudowaniu Polski od morza do morza.

Takiego dowodu Napoleon nie zgodził się dać, jak jedni twierdzą dlatego, że przed pogromem 1812 r. ani o tem myślał, a drudzy, że nie mógł, gdyż miał przeciw sobie potęgę Rosji, a za sobą Austryję i Prusy, które w chęci odwetu mogłyby się na wszystko ważyć, a do takiej rozprawy bez należytego, długiego przygotowania stawać może tylko szalenciec. Tak czy owak wskutek odmowy Napoleona Kościuszkę nie przybył, choć o jego przyjeździe obwieścił fałszywie chytry Fouché za zgodą swego cesarza, co wywołało na polskie umysły wielkie i dodatnie wrażenie. 

Pośpieszyli za to Dąbrowski i Wybicki,

przebywający od 4 lat w Dreźnie. I wtedy to, gdy ten ostatni na posłuchaniu z entuzjazmem zapewniał, że na wieść o chęci cesarza wskrzeszenia Polski, naród sam wszystko mu złoży w ofierze, gdyż „polak krew i byt swój cały odda dla odzyskania niepodległości ojczyzny”, wypowiedział Napoleon wobec Dąbrowskiego i Berthiera pamiętne słowa: „zobaczę, czy polacy godni są być narodem?” Widocznie czyny i krew legjonów nie przekonały go o tem.

W początkach listopada 1806 r. korpus Davousta dosięgnął Wielkopolski, a 4-go tegoż miesiąca dwa pułki jego strzelców konnych stanęły pierwsze w Poznaniu.

Na wieść o tem zawrzało i w pruskim i w rosyjskim zaborze, skąd młodzież zaczęła przekradać się do Wielkopolski, a Dąbrowski z Wybickim użyli całej swej znanej dobrze energji dla organizowania siły zbrojnej. Prócz tego ustanowiono tymczasową administrację na sposób francuski, urządzając 2 departamenty, poznański i kaliski, a do Napoleona, przebywającego w Berlinie wysłano deputację obywatelską z Ksawerym Działyńskim na czele, w skład której weszli: Chłopowski, Fiszer, Jara-

czewski, Kęszycki, Lipski, Łącki, Mielżyński, Mycielski, Szałowski, Walchnowski, oraz księża, Dąbrowski i Kuszel.

W Berlinie otrzymała deputacja nadzwyczaj uroczyste posłuchanie 19 listopada 1806 r. Na przemówienie Działyńskiego odpowiedział Napoleon mową, którą zakończył słowami: „Francja nigdy nie uznała podziału Polski. Niezgody wasze zrzędziły upadek tego pamiętnego w dziejach narodu. Niech przeszłość służy wam za naukę do połączenia waszego. Niech magnaci i majątniejsza szlachta staną na czele, a gdy ujrzę 30000 ludzi pod bronią, ogłoszę w Warszawie niepodległość waszą, skoro zaś ja ją ogłoszę niewzruszoną będzie. Interesem jest Francji i całej Europy, ażeby Polska był swój miała. Niech faksje wewnętrzne ustana. Wasz los w waszej jest ręce!”

Aczkolwiek w tych słowach jest wiele przykrego, lecz, niestety, słusznego. Niezgody nas zgubiły, a jednak czyż ustały po tem publicznem, a dobitnem wytknięciu przez obcego? Już wtedy nawet zaczęły się prywatne rywalizacje i zazdrości. Mowa ta, choć ogólnikowa, dawała jednak niejaką

pewność, w każdym razie tysiąckroć większą, niż w najświetniejszych chwilach legjonów.

Zabrano się do dzieła szybko i energicznie, a nadewszystko, z bezgraniczną ofiarnością i zgodnie. Odezwa Wybickiego z 3 listopada była rozchwytywana i osiągała pożądaną skutek. Prześcigano się w ofiarności, sypiąc pieniędzmi, formując, częstokroć kosztem jednego, całe oddziały zbrojne. Każdy dawał i czynił, co mógł, a nawet nie raz więcej, wyprzedając się i zapożyczając. A że tak było, dowodzi fakt, iż jeszcze w listopadzie gotowe już były 4 pułki i zaczęto wypędzać prusaków, skąd jeszcze uciec nie zdążyli, a taki był popłoch między junkrami butnymi wobec słabszych, bezbronnych, starców, kobiet i dzieci, że dobrze opatrzona Częstochowa poddała się jednemu szwadronowi strzelców konnych pod wodzą pułkownika Deschamps i kapitana Wosińskiego.

Korpus Davousta szedł szybko wślad za cofającymi się rosjanami i pruskimi niedobitkami. O oporze na lewym brzegu Wisły nie mogło być nawet mowy, gdyż rosjanie nie zdążyli przygotować tam dostatecznych

sił wskutek niesłychanie szybkiego pogromu prusaków.

W nocy z 26 na 27 listopada opuściły rosyjsko-pruskie wojska po cichu Warszawę, paląc za sobą most na Wiśle, a przed wyjściem generał Koehler, ogólnie lubiany i szanowany gubernator warszawski powierzył zwierzchność nad stolicą ks. Józefowi Poniatowskiemu.

Wieczorem 27 listopada wpadł do Warszawy szwadron 13-go pułku strzelców konnych francuskich wzmiankowanego już Deschamps'a, a w kilka godzin potem weszła dywizja generała Milhaud, stanowiąca awangardę korpusu Davousta. Nazajutrz wjechał szwagier Napoleona, marszałek Murat, wprowadzony do serca Polski przez ks. Józefa, który na dzień ten znów włożył dawny swój mundur generała wojsk polskich.

XI. Napoleon w Warszawie. Utworzenie Księstwa Warszawskiego.

Murat w charakterze namiestnika cesarskiego zaraz zorganizował, za wskazówkami Wybickiego, rząd tymczasowy, którego naj-

wyższą instancją były 3 izby: administracyjna, wojenna i sprawiedliwości. Prezydentem pierwszych dwóch został Gutakowski, trzeciej — Ossoliński, a wśród członków byli tacy ludzie jak, Ignacy Sobolewski, Antoni Ostrowski, ks. Woronicz, Kalasanty Szaniawski, Aleksander i Feliks Potoccy i inni.

Ks. Józef Poniatowski, który nie ufał ani rzeczypospolitej, ani Napoleonowi, nie miał i teraz chęci popierania ruchu zbrojnego, nie widząc w tem żadnej dla kraju korzyści. Przy tem zrażony był bardzo intrygami, jakie przeciw niemu snuto od kampanji 1792 roku: czyniono wszystko, aby księcia oczernić i zdepopularyzować w oczach całego kraju, co się też udało, dzięki tej okoliczności, że ks. Józef do chwili zajęcia Warszawy przez francuzów, przepędzał w niej czas wśród zabaw niebezgrzesznych. Powitawszy więc i wprowadziwszy wojska francuskie, usunął się książę na stronę już 2 grudnia.

Ale Wybicki, znając dobrze jego zalety jako człowieka, gorącego patrioty, utalentowanego wodza i walecznego żołnierza, nie dał mu pozostać w cieniu i naleganiem swem

sprawił to, że już w połowie grudnia stanął nasz książę na czele organizacji wojska.

Zbudził się więc bohater i, wstąpiwszy raz na obroną drogę, dążył już nią aż do chwili, gdy w nurtach Elstery złożył swe życie w ofierze ojczyźnie i honorowi, który nad wszystko umiłował. A ciernistą była ta droga; na razie nieufność i szykany, a potem zawiść, intrygi i olbrzymia odpowiedzialność. Lecz nie cofnął się już książę ani na krok, a gwiazda jego czynów świeciła coraz jaśniej i jaśniej i do dzisiaj świeci nad czarnym sarkofagiem w królewskich podziemiach Wawelu, w sercach wdzięcznych ziomek, w historii, i świecić nigdy nie przestanie.

W nocy z 18 na 19 grudnia zjechał do stolicy Napoleon i zaraz opryskliwie, wrogo niemal przyjął członków izb, czyniąc im różne zarzuty, nawet o surowy klimat, i zażądał pod grozą opuszczenia sprawy wielkich ofiar na utrzymanie swych wojsk w dostatku. Potem wezwał marszałka Małachowskiego, aby mu powierzyć w myśl planu Wybickiego zwołanie zalimitowanego sejmiku wielkiego. Projekt ten jednak i teraz zo-

stał zaniechany wobec wieści o gromadzeniu się wojsk austriackich w Galicji.

14 stycznia 1807 r. ustanowioną została Komisja Rządząca, jako najwyższa władza prawodawcza w ziemiach zaboru pruskiego, w skład której weszli: Stanisław Małachowski, jako prezes, Piotr Bieliński, Ksawery Działyński, Ludwik Gutakowski, Stanisław Potocki, Walenty Sobolewski i Józef Wybicki, a sekretarzem został Jan Łuszczewski. Władzę wykonawczą objęło 5 dyrektorów pod prezydencją Łubieńskiego: wydział wojny—ks. Józef, skarbu—Tadeusz Dembowski, sprawiedliwości—Feliks Łubieński, spraw wewnętrznych—Stanisław Breza, i policji—Aleksander Potocki. Pełnomocnikiem swoim mianował Napoleon Talleyrand'a.

Kraj podzielono na 6 departamentów: 1) warszawski, 2) poznański, 3) kaliski, 4) płocki, 5) bydgoski i 6) białostocki. Organizacja wojskowa w każdym z nich odbywała się osobno, kawalerję (na razie) tworzone z pospolitego ruszenia. Jak szybko szło formowanie szeregów, dowodzą cyfry: w końcu 1806 r. mieliśmy już silny 55-tyśięczny korpus t. j. przeszło 10000 kawalerji, 42000 piechoty, resztę artylerji. Całą

tę siłę podzielono na 3 legje, na czele których stanęli: ks. Józef, Zajączek i Dąbrowski, który zaraz wyruszył na teatr wojny.

W trakcie tego podniósł raz jeszcze Czar-toryski swój plan, zwracając uwagę, jak nie-pożądane skutki pociągnie za sobą przyłą-czenie się Polaków do Napoleona i radził Aleksandrowi I natychmiast ogłosić się kró-lem polskim. Napróżno! — wypadki ocze-kiwanej rozprawy orężnej dawały obydwóm stronom nadzieję, że obejdzie się bez roz-strzygnięcia kwestji polskiej, a więc i bez u-kładów, ustępstw i specjalnych dla nas względów.

Z tego dokumentnie widać, że dotąd ani Aleksander I, ani Napoleon nie mieli abso-lutnie stałego i szczerzego postanowienia od-budować Polskę nawet częściowo: były to tylko chwilowe i przelotne chęci i obietnice, zwłaszcza ze strony Napoleona, pochodzące z potrzeby.

Działania wojenne tymczasem rozwinęły się w całej pełni, a w nich przyjęły za-szczytny udział nasze nowoutworzone pułki. Po walkach pod Czarnowem, Pułtuskim, Gołyminem i Działdowem prusacy zostali odcięci od Rosjan i ustąpili do dzisiejszych

Prus Wschodnich, wkrótce potem uczynili to i rosjanie.

Legja Dąbrowskiego, naznaczona pod Gdańsk, poszła tedy za prusakami i stoczyła z nimi zwycięską bitwę pod Tczewem, zabierając działa i jeńców, ale sam wódz został ciężko ranny wraz ze swym synem, Janem, dowódcą pułku kawalerji. Z rosjanami walczyli Fiszer i Zajączek, który czynił nieustanne szykany i przykrości ks. Józefowi, będącemu, jako dyrektor wydziału wojny, zwierzchnikiem tego generała-intryganta.

Dnia 7 lutego zawrzała bitwa pod Pruską Iławą: dwa dni trwało straszne, krwawe pasowanie się, które jednak nie dało stanowczego wyniku, pomimo olbrzymich strat obu przeciwników. Odtąd aż do czerwca ograniczono się na potyczkach i marszach, aż rosjanie, otrzymawszy posiłki, pierwsi wystąpili z zaczepnem działaniem. 14 czerwca przyszło do walnej bitwy pod Friedlandem, zakończonej świetnem zwycięstwem Napoleona. Uczestniczyła w niej chlubnie nasza kawalerja i dywizja niewyleczonego jeszcze Dąbrowskiego, która głównie przyczyniła się do zdobycia miasteczka Frie-

dlandu, wpierając do rzeki Alli 3 pułki rosyjskiej piechoty i jeden jazdy.

Po przegranej musieli się Rosjanie wycofać za Niemen,—w swoje granice, a Królewiec, schronisko Fryderyka Wilhelma III dostał się w ręce Francuzów, ale już po jego umknęciu. Gdy Francuzi zajęli w kilka dni potem lewy brzeg Niemna, przybył do głównej kwatery Murata w Tylży rosyjski parlamentarz z propozycją zawieszenia broni, która została natychmiast przychylnie przyjętą.

I nic dziwnego: przy warunkach, jakie się wytworzyły po Friedlandzie, musieliby Rosjanie walczyć za Prusaków w granicach swych posiadłości; Napoleon zaś pragnął przez wyrachowanie nie tylko pokoju lecz i przymierza z Rosją. Tryumfów miał dosyć, upokorzywszy Niemców i zwyciężywszy Rosjan; teraz potrzebował pokoju i silnego sprzymierzenia dla przeprowadzenia swych planów w Hiszpanji i pognębienia Anglii, która mu sen zatruwała: bo zręczni wyspiarze, ci jedni, których najbardziej pragnął ukorzyć, a potem złamać i zniszczyć do szczętnie, urągali jego potędze i genjuszowi, plądrując i zabierając francuskie kolonje

i stwarzając coraz nowe potężne przeszkody pod postacią koalicji.

Dla takich to celów potrzebował Napoleon niewymuszonej orężem przyjaźni Aleksandra I. Również ziszczenie planu podziału Europy na dwie sfery wpływów, romańskich i słowiańskich było bliższem niż kiedykolwiek w chwili, gdy rosyjski parlamentarz zatrąbił przed francuskim obozem w Tylży. Oto dlaczego zawarto tak szybko zawieszenie broni.

Napoleon wiele bardzo liczył na idealizm, wrażliwość i zamiłowanie pokoju młodego, bo zaledwo 30-letniego władcy Rosji; znał również w szczególach plan Czartoryskiego, zarówno jak powody, które przeszkodziły jego wykonaniu (jedno z dwóch ich źródeł w chwili, o której mowa, było zniszczone). Prócz tego już dla samej Anglii nie mógł Napoleon chcieć dalszej wojny z Rosją, która bynajmniej złamaną nie była; gdyby więc nie skorzystał z propozycji rosyjskiej, przebiegli Anglicy postaraliby się o podburzenie Rosji przeciw Napoleonowi, tak jak to już czynili z nią samą, Austrią, Prusami, we Włoszech, a świeżo w Hiszpanji, a o tę ostatnią bardzo chodziło cesarzowi francuzów, bo w myśl

swego wszechświatowego planu, postanowił już wtedy detronizację hiszpańskich Burbonów.

Jednem słowem, w rezultacie rzeczy się tak przedstawiły: 14 czerwca wrzała bitwa pod Friedlandem, 19—zawarto zawieszenie broni, 25 — spotkali się po raz pierwszy obaj cesarze, a 7 lipca—podpisano już pokój. Szybkość zaiste niesłychana nawet w naszych czasach!

Pierwsze spotkanie monarchów odbyło się sam na sam w umyślnie na ten cel wzniesionym pawilonie na środku Niemna. Następnie odbywały się ze współudziałem Fryderyka Wilhelma III, który zjechał do Tylży ze swą małżonką zaliczoną w poczet świętych pruskich, królową Luizą, a która odegrała tu wielką, lecz niezaszczytną, a tem mniej świętą rolę.

Pokój zakończył „pierwszą wojnę polską”, tak nazwaną chyba przez ironję; tutaj bowiem wykreślono imię Polaków, nazywając nas „warszawianami”.

Wśród rokowań była chwila, gdy Napoleon uchylił rąbka zasłony, kryjącej jego plan pomieniony;—zapropozował Aleksandrowi I aby wziął cały zabór pruski wraz

z dziedziczną koroną polską. Władca Rosji odmówił. Dlaczego? — na to odpowiadają dwojako: 1) albo, poznawszy już wtedy osobiście Napoleona, nie żywił pewności na trwały z nim pokój, nie chciał więc narażać się Austrii i jątrzyć Prus; 2) albo też bardzo się zraził przez zachowanie się Polaków w ostatnich wypadkach wojennych oraz rozmowę z generałem Kniaziewiczem, jeszcze przed bitwą pod Friedlandem.

General, którego zdanie za prawość, otwartość, honor i patriotyzm Aleksander I wysoko cenił, zapytany w kwestji odbudowania Polski w myśl planu Czartoryskiego, odpowiedział szczerze, po żołniersku, że, choć przed dwoma laty była to rzecz i możebna i łatwa, obecnie wskutek zjednania narodu przez Napoleona, wątpliwem jest bardzo, aby nawet Polacy, poddani Rosyjscy chcieli wziąć stronę Rosji i walczyć w jej szeregach przeciw swym braciom.

Według nas wszystkie te pobudki razem spowodowały odmowę Aleksandra I. Ponieważ zaś cośkolwiek dla Polaków konieczne uczynić trzeba było, — utworzono Księstwo Warszawskie z ziem zaboru pruskiego prócz Warmji i części Prus Zachodnich, pozosta-

wionych Prusom, i obwodu białostockiego oddanego Rosji. Hojność Napoleona zawdzięczają prusacy wdziękom swej królowej, za cenę których stał się ich pogromca tak miękkim, że zamiast wykreślić je z listy państw Europy, zmniejszył tylko do połowy.

Pokój tylżycki wywołał na razie wśród naszego narodu wiele oburzenia i wrzawy: zamiast Polski, bodaj okrojonej, lecz z zachowaniem imienia i tytułu, stworzono coś małego a bezbarwnego.

W tym jednak wypadku słuszność nakazuje przyznać, że oburzenie to całkowicie racjonalnem nie było: mógł Napoleon oddać nam cały zabór pruski wraz z tytułem Królestwa Polskiego i nie wywierać nań nacisku materjalnego i moralnego:—oto na razie wszystko! Nie zapominajmy, że Napoleon był francuzem, nie polakiem,—trudno więc wymagać, aby wtedy, gdy pokój był koniecznością dla Francji, wikłał się w wojnę z potężną Rosją, której wynik wobec ówczesnych warunków politycznych, był wątpliwy nawet dla takiego geniusza. Zrozumiałym był wybuch oburzenia na razie, ale podziwiać je należy w dzisiejszych czasach,

zarówno jak i ten fakt; że nie oburzano się głośno wówczas, gdy Napoleon, wiele obiecując, nie tylko nic nie uczynił, lecz wygubił tysiące walecznych, a krzyczano wtedy, gdy ten sam człowiek, nic właściwie nie przyrzekając, dał jednak coś realnego i artykułem 11-tym traktatu tylżyckiego zapewnił wolność osobistą i majątkową wszystkim polakom, którzy przyjmowali udział w wypadkach 1806/7 r.

Tyle już razy wyrażaliśmy tak niepoehlebne zdanie o Napoleonie, że chyba zarzutu stronności za tą obronę nikt nie postawi. A trudno nie przyznać w oczy bijącej prawdy i nie sprostować jej wobec tego zwłaszcza, że u nas rozpowszechniły się o Napoleonie dwa zdania: jedno—absolutnie wychwalające, drugie—bez zastrzeżeń potępiające, a obydwą w tem zgodne, że przesadne i niesprawiedliwe. Ten genjusz bowiem wreszcie był także tylko człowiekiem, mógł więc mieć słabe strony, wady, postępować źle lub mylnie, jak naprz. na wiosnę 1807 r., gdy mu uczyniono na silnych i realnych podstawach opartą i na razie dobrze przyjętą propozycję poruszenia całego zaboru rosyjskiego i rozszerzenia tego ruchu

na austriacki. Plan ten, łącząc we wspólnym celu całą Polskę, dałby zarazem i jemu możliwość postawienia w Tylży wiele ostrzejszych warunków, a w rezultacie utworzenia silnego sprzymierzenia na łącznicy środka Europy z zachodem.

Bądź co bądź i wtedy zrozumiano, że dzień 7 lipca 1807 r. przyniósł nam korzyść realną, zwracając wolność i byt, niezależny wprawdzie częstce tylko Polski, ale dostaliśmy pod nogi grunt rodzimy, na którym można było rozwijać życie narodowe i mieć stały punkt oparcia do dalszej działalności w celu wskrzeszenia ojczyzny. Zwłaszcza po wojnie 1809 r. musiano się z nami liczyć bardzo serjo i to już jako z polityczną jednostką. Wtedy to nie należało zaślepiac się napoleońską gwiazdą, a może w ten sposób z nim lub bez niego inaczej wyszlibyśmy z tego dziejowego kaktlizmu.

Jeszcze przed urzędowem utworzeniem Księstwa Warszawskiego, w drogim dniu 3-go maja, zawieszono z wielką uroczystością na powrót orły białe na miejsce pruskich i poświęcono sztandary narodowe. Książd Woronicz wygłosił piękną, podniosłą mowę,

a ks. Józef, dosiadłszy rumaka, odebrał przysięgę od zebranego w znacznej liczbie wojska.

Tak więc dziesięcioletnie trudy, olbrzymie ofiary we krwi, łzach i mieniu dały nam w rezultacie cień dawnych czasów i to bardzo drogo opłacony odrazu, gdyż z kraju wycieńczonego przez ofiary i wojnę: trzeba było na samo utrzymanie wojsk francuskich dawać dziennie 7000 dukatów. Nie prędko tedy i nie tanio okupuje się dawne grzechy!

Nic jednak nie zraziło naszych dziadów. Chętnie oddawali ostatnie, byle tylko dowieść, że „godniśmy być narodem”.

Księstwo Warszawskie, nie mogąc mieć tak z powodu swego małego obszaru, jak i warunków politycznych i krótkotrwałości większego znaczenia w historii powszechnej, ma za to olbrzymie w naszej, jako żywy przykład naszej siły: przy dwukrotnie mniejszej ludności niż w 1791 r., przy ogólnej nędzy mieliśmy 100000 wojska, gdy w pomienionym terminie ledwo połowę tej liczby wystawiono.

Fakt ten powinien być głęboko wryty w głowie i sercu każdego, jako do-

wód, że silną wolą, ofiarami i łamaniem przeszkód działać można bardzo wiele, a o całe niebo więcej, niż oglądaniem się na to, że może jaki dobrodziej lub cudowny zbieg okoliczności wydobędzie z krytycznego położenia, a piekło w raj zamieni.

CZEŚĆ III.

XII. Konstytucja księstwa. Organizacje administracyjne.

Na tronienowego państwa, które urzędowo istnieć zaczęło od d. 7 lipca 1807 r., a w rzeczywistości od chwili opuszczenia przez prusaków Warszawy, zasiadł Fryderyk August saski, który 11 grudnia 1806 r. otrzymał z rąk Napoleona tytuł królewski dla siebie i Saksonji.

Wybór ten był bardzo trafny, ponieważ padł na człowieka wysoce prawego i szlachetnego, wykształconego i połączonego pokrewieństwem politycznym, jeśli się tak można wyrazić, z nowymi poddanymi. Pradziad i dziad jego panowali w Polsce, a konstytucja 3 maja, postanawiając dziedzictwo

tronu naszego w rodzie elektorów saskich, w razie wcześniejszej śmierci Stanisława Augusta (zmarłego w Petersburgu d. 12 lutego 1798 r., a więc 9¹/₂ roku przedtem) tem samem osobiście Fryderykowi Augustowi oddawała koronę Chrobrych i Batorych.

Konstytucję otrzymało księstwo z rąk Napoleona. W Dreźnie, na uroczystem posłuchaniu d. 22 lipca 1807 r. wobec ministrów Taleyrand'a i Maret'a została ona wręczona w komplecie zebranych członkom Komisji Rządzącej. Napisaną została przez Mareta za dyktandem Napoleona, który nawet nie bardzo się radził bawiących wówczas u jego boku członków pomienionej Komisji, — i zawierała w sobie 12 tytułów, podzielonych na 89 artykułów, podobną zaś była do tych, jakie Napoleon nadawał stworzonym przez siebie państwom, — była to więc właściwie „konstytucja samowładcza”.

Wyrażenie to, jak się zaraz okaże, nie jest absurdem: jakże bowiem inaczej nazwać ustawę, gdzie obok przedstawicielstwa narodowego, monarcha ma wyłączny przywilej na: 1) zapoczątkowywanie praw, 2) rozwiązanie izby przedstawicieli narodu bez

wpływu na pobór podatków, 3) kompletowanie senatu (=izby wyższej), który, z kolei, mógł być bez znaczenia, gdyż uchwała izby niższej, potwierdzona przez monarchę, stawała się obowiązującą, 4) dopełnianie konstytucji i 5) nominacje wszystkich urzędników od sędziów pokoju włącznie. Wobec wyszczególnionych przywilejów monarchy, gdzież jest właściwa konstytucja, która daje w pierwszym rzędzie prawa i gwarantuje je każdemu obywatelowi?

To z jednej strony. Z drugiej zaś,— tam, gdzie istnieje przedstawicielstwo narodowe i zaręczenie praw ludowych,—rząd nie może być nazwany absolutnym. — Najwłaściwiej konstytucja ta może być nazwana—ustawą. Dla nas miała ona dużo dobrych stron.

1) Dla narodu zgnębnionego, z wszelkich praw wyzutego—była dobrodziejstwem, bo dawała możliwość udziału w sprawach publicznych i urzędach, zwracała do nich i do szkół język ojczysty, 2) znosiła w kraju niewolę, potwierdzając tem konstytucję 3 maja, 3) krępowała wybujałą, zrodzoną za czasów dawnej rzeczypospolitej wolność szlachty i magnatów, 4) pozwalała rozwijać

ducha narodowego, i 5) czyniła wszystkich równymi wobec prawa, co było i jest dla każdego narodu, nawet politycznie wolnego, rzeczą pierwszej wagi.

I Francji Napoleon nie dał konstytucji lepszej i szerszej, a znając nasze dzieje, mógł obawiać się niezgody i wybryków szlachty. Nic więc dziwnego, że taką a nie inną nam nadał konstytucję.

Treść jej jest następująca: 1-szy tytuł zawiera zaręczenie praw ludowych, 2-gi i 3-ci—zasady władzy najwyższej, 4-ty, 5-ty i część 6-go — przedstawicielstwa narodowego, reszta 6-go i 7-my—prawo wyborcze, 8-my—podział i wewnętrzną administrację, 9-ty—sądownictwo, 10-ty—wojsko, 11-ty i 12-ty—różne dopełnienia.

Stosownie do 47-go artykułu, prawo obywatelstwa mieli: 1) urodzeni w księstwie lub na obczyźnie z rodziców-obywateli, 2) właściciele nieruchomości, 3) legjoniści, 4) ci co w 1806 r. weszli do służby i 5) cudzoziemcy, zamieszkujący w księstwie nie krócej, niż 10 lat i umiejący po polsku. Obywatelom wyłącznie przysługiwało prawo wyboru do sejmu bez różnicy stanu i pochodzenia.

Ustanowiony dekretem cesarskim 14-go stycznia 1807 r. rząd tymczasowy pozostał nadal z nic prawie nie znaczącymi zmianami powierzchownymi. Miejsce rozwiązanej 5 października Komisji Rządzącej zajęła Rada Stanu, złożona z przewodniczącego, 6 ministrów i 4 referendarzy. Pierwszym pozostał do końca 1807 r. Małachowski, poczem zamienił go Gutakowski; ministrami nazwano poprzednich dyrektorów, z dodaniem szóstego, ministra — sekretarza stanu, którego obowiązkiem było pośredniczenie między władzą wykonawczą a monarchą. Stanowisko to objął b. dyrektor spraw wewnętrznych Breza, którego zastąpił na dawnym stanowisku, już jako minister, sekretarz b. Komisji Rządzącej — Łuszczewski. Po za tem wszyscy pozostali na swych poprzednich stanowiskach.

Przedstawicielstwo narodowe tworzyło 2 izby: wyższą — senatorską i niższą — posłów i deputowanych. Pierwsza składała się z 18 członków dożywotnich, mianowicie, po 6 wojewodów, kasztelanów i biskupów, druga ze 100 — wybieranych na 9 lat, przytem co 3 lata trzecia część izby odnawiała się przez wybory nowych członków na miej-

sca ustępujących, losem wskazanych. Z tych 100 członków, szlachta wybierała na sejmikach 60 posłów, po jednym z każdego powiatu; mieszczanie, dymisjonowani żołnierze, księża i wszyscy, którzy przez swe osobiste zasługi godni tego byli,—wybierali na zebraniach gminnych 40 deputowanych: 8 takich zebrań odbywało się w Warszawie, reszta na prowincji, przytem nie jednocześnie z sejmikami.

Z przytoczonego widać, że konstytucja dążyła do ograniczenia magnatów i szlachty, nadając szerokie przywileje monarsze i znaczny udział w przedstawicielstwie narodowym innym stanom, które tem samem mogły wykazać swoich utalentowanych i zdolnych członków, oraz wyjść ze stanu ciemnoty i poniżenia.

Sejm powinien się był zbierać co 2 lata i obradować w przeciągu 2 tygodni. Z tego ograniczenia przekonać się można, że prawdziwa władza spoczywała w rękach monarchy, który niczem nieograniczony we władzy wykonawczej, nie bardzo był skrupowany i w prawodawczej. Ważnym też bardzo dla panującego był artykuł 80-ty, pozwalający mu przenieść część siły zbrojnej do Saksonji,

zastępując ją równą liczbą swych wojsk saskich.

Cały kraj, obejmujący 1850 mil kwadratowych z 2000000 mieszkańców dzielił się na departamenty: 1) warszawski, 2) poznański, 3) kaliski, 4) płocki, 5) łomżyński i 6) bydgoski, a te, z kolei, na 60 powiatów ogółem; pierwszymi rządzili prefekci, drugimi — podprefekci. Miasta większe posiadały, jako naczelników, prezydentów, mniejsze burmistrzów. Wiejski zaś zarząd, gdzie gminy były przeważnie w rękach obywateli, nie był wprost wskazany przez konstytucję z powodu, że we Francji panowały odmienne stosunki. Ustanowił go przez dekret monarcha, powierzając samym właścicielom gmin, co szło wbrew anti-szlacheckiemu duchowi całej konstytucji.

Sądownictwo miało na najniższym szczeblu swej hierarchji w każdym powiecie po jednym sędzi-pokoju, zatwierdzonym przez monarchę z grona ku temu wybranych z pomiędzy właścicieli nieruchomości. — Atrybucje tych sędziów ograniczały się na godzeniu zwaśnionych, a więc nie były to sądy w dzisiejszem tego wyrazu znaczeniu. — Takimi były trybunały cywilne, po jednym

w każdym departamencie, i kryminalne — po jednym na dwa. Wyższą instancją był jedyny sąd apelacyjny w stolicy, a funkcje najwyższej instancji kasacyjnej — pełniła Rada Stanu (obecnie Senat).

Obowiązującym prawem cywilnym był kodeks ułożony z rozkazu Napoleona i jego imieniem nazwany. Prawo kryminalne zaś i handlowe miano uregulować na pierwszym sejmie.

Religią panującą uznawała konstytucja rzymsko-katolicką, z zupełną jednak tolerancją wszelkich innych wyznań, zwłaszcza chrześcijańskich.

W izbie niższej zasiadali obok przedstawicieli narodu członkowie Rady Stanu, prezydował zaś wybrany z grona posłów i przez panującego zatwierdzony marszałek. Głosowanie było tajne, odbywało się za pomocą kartek, a rozstrzygała prosta większość głosów. Pierwszą czynnością izby był wybór ze swego łona 3 komisji: 1) prawodawstwa cywilnego, 2) karnego, 3) skarbu i przychodów, którym stosownie do treści przedstawiano projekty Rady Stanu, i jedynie członkowie tych komisji mieli prawo zabierania głosu w dyskusjach, reszta słuchała

tylko, a po ukończeniu głosowano za odrzuceniem projektu, lub przekazaniem do senatu, który miał prawo skasować powziętą uchwałę, gdy takowa sprzeciwiała się konstytucji, lub zawierała formalne uchybienia. W razie, gdyby zdaniem monarchy takie skasowanie było bezpodstawnem, miał on prawo powiększyć skład senatu do 30 członków przez dodanie jeszcze 6 wojewodów i tyluż kasztelanów i tak zwiększonemu polecić powtórne rozpatrzenie uchwały, a gdyby i wtedy została odrzuconą, panujący miał prawo zatwierdzić zdanie izby niższej i tym sposobem zamienić je w prawo obowiązujące.

Na każdym tedy kroku widzimy samowładztwo. Jeśli nie doszło z tego powodu do różnych starć i kolizji, to tylko dzięki temu, że 1) Fryderyk August osobiście nie był despota, a 2) naród, wyzwolony z ucisku, ceniał wysoko wszystko, co nim nie było, a dążąc ze wszech sił do odzyskania bytu politycznego, szanował to, co dało ten pierwszy faktyczny zaród ziszczenia swych nadziei i pragnień, wobec czego wszelkie inne sprawy musiały zejść na stronę.

XIII. Smutny stan ekonomiczny kraju.

Do października 1807 r. najwyższa władza spoczywała z imienia w rękach Komisji Rządzącej, ale w rzeczywistości piastował ją marszałek Davoust i rezydent cesarski Vincent.

W powyższym dopiero terminie ujęła ster rządów władza, określona przez konstytucję, co wywołało ogólne zaciekawienie, jakimi też będą te nowe swojskie rządy. Gorączkowe wprost zainteresowanie objawiały te żywioty, które doczekawszy się możliwości zajęcia urzędów, widziały w nich li tylko pole do zysków i osobistej kariery.

21 listopada t. r. wjechał uroczyście do stolicy książę warszawski, król saski, Fryderyk August wraz z żoną i córką, witany z olbrzymim entuzjazmem i pompą. Osobistość monarchy była bardzo sympatyczna: wnuk Augusta III umiał po polsku, wyznawał z nowymi poddanymi jedną religję, tradycja wreszcie i dzień 3 maja były węzłami, które odrazu zacieśniły wzajemne stosunki narodu z monarchą i naodwrot.

Przypomnieć tu należy, że po uchwałach

sejmu wielkiego był wysłany do Drezna ks. Adam Czartoryski z propozycją przyjęcia przez elektora saskiego sukcesji po Stanisławie Augustacie, oraz zawarcia pact'ów convent'ów, że po śmierci Fryderyka Augusta tron polski przejdzie na jego córkę, Marię Augustę Nepomucenę, ewentualnie zaś na jej męża, którym według wszelkiego prawdopodobieństwa miał być ks. Józef.

Mimo wielkiej chęci nie mógł wtedy z powodu warunków politycznych przyszy księżę warszawski przyjąć rzeczonej propozycji, lecz w długich rozmowach z mężem tak światłym i zacnym patryjotą, jakim był księżę — generał ziem podolskich, poznał dobrze Polskę i polaków oraz ich zalety, wady i potrzeby. Jechał też teraz, jak do dobrych znajomych, a jechał dla objęcia rządów trudnych i odpowiedzialnych, jak to zaraz zobaczymy.

Tak pod względem finansowym, jak ekonomicznym znalazło się księstwo w fatalnych warunkach, zmiana których wymagała olbrzymich wysiłków, pracy i talentu; monarcha zaś, mając prawo ograniczania na każdym kroku władzy narodowej, sam z kolei był potężnie skrepowany przez „dobro-

czyńcę” — Napoleona, oraz jego marszałków i ministra rezydenta, zupełnie od księcia niezależnych. 10-y artykuł konstytucji wyraźnie zastrzegł, że prócz Francji, żadne państwo nie może mieć swego przedstawiciela w Warszawie, co wyraźnie wskazuje na tę okoliczność, iż dla Napoleona księstwo było czemś w guście rozległego departamentu francuskiego. Wobec powyższego zarząd zrujnowanym krajem był rzeczą nader trudną.

Rządy swe zaczął Fryderyk August od dość śmiesznego przypodobania się swemu protektorowi, nakazując zmianę nazwy ulicy Miodowej na „Napoleona”, czego dokonano z wielką pompą. Następnie dopiero mianował prezesem senatu — Małachowskiego; — Rady Stanu — Gutakowskiego; Bielińskiego, Działyńskiego, Stanisława Potockiego i Wybickiego — wojewodami; Gorzeńskiego, Jabłonowskiego, Radziwińskiego i Walentego Sobolewskiego — kasztelanami. Nakoniec, wydał 4 dekrety, z których najważniejszy, o włościanach, chybił celu, gdyż nie uregulował ani w części stosunku chłopów do obywateli, wskutek czego pierwsi, będąc osobiście wolnymi, ale bez ziemi, po-

zostali w gruncie rzeczy na dawnych warunkach pańszożyźnianych.

Przed przybyciem księcia do Warszawy została uregulowana kwestja wojskowa. Na żądanie ministra wojny, ks. Józefa, skasowano pospolite ruszenie dla tworzenia kawalerji i zamieniono je ogólnem prawem poborów, dla których ustanowiono stałe terminy. Nadto uformowano pułk szwoleżerów, t. j. lekkokonny, który przyjął Napoleon z prawami starej gwardji na żołd francuski, na który poszedł również pułk ułanów i 3 pułki piechoty pod nazwą „legji Nadwiślańskiej”. Te 5 pułków wyszło z kraju najprzód do Francji, a stamtąd do Hiszpanji, a powróciły dopiero w 1812 r.

Pozostałe we Włoszech resztki legjonów, tworzące 3 bataljony i 4 szwadrony, częściowo zostały zatrzymane przez króla Józefa na służbie neapolitańskiej, reszta zaś weszła bądź do legji Nadwiślańskiej, bądź do wojsk księstwa.

Pod względem wojskowości kraj stał doskonale, ponieważ szeregi, których kadry tworzyli weterani legjonów, miały prócz tego za dowódców przeważnie doświadczonych, ostrzelanych już oficerów; nowoza-

ciężny żołnierz, który je wypełnił, był świetnym materiałem, dzięki wrodzonym naszemu narodowi zdolnościom i skłonnościom, tradycja zaś i patryjotyzm, wieńcząc to wszystko szaloną odwagą, postawiły młodą armję odrazu na poziomie bodaj nawet wyższym, niż wojska innych narodów. Prawda i to, że główna uwaga była przywiązana do siły zbrojnej ze względu na ówczesne czasy i warunki, a także gwoli widoków i planów Napoleona księstwo było czysto militarną jednostką polityczną, a więc rzecz prosta, że wojsko musiało być głównym jej nerwem.

Za to, prócz tylko jeszcze oświaty, podniesionej przez nową władzę, pod resztą względów kraj był w położeniu więcej niż złem,—okropnem nawet.

O ogólnym upadku pod rządami prusaków mówiliśmy w pierwszej części. I oto w takich warunkach kraj musiał zacząć się rządzić własnymi głowami i środkami, a jednych i drugich brakło, bo polacy za dawnych czasów wyrazu „urzędnik” tak, jak to dziś sami pojmują, a cała Europa już wtedy pojmowała,—nie rozumieli, a pod panowaniem pruskim nie byli do urzędów do-

puszczani. Mało tego; — ta część narodu, która ze względu na swą kulturę, mogłaby zająć urzędowania, t. j. szlachta, przywykła od wieków pogardzać niemi i pełnić tylko służbę publiczną, mianowicie, posłować na sejmy i sejmiki, oraz nosić honorowe tytuły; mieszczaństwa w znaczeniu zachodnio-europejskiem nie było, a włościanie, jak wszędzie podówczas poddani i ciemni, nic nie znali prócz roli i potroszę — wojaczki. Ogółem rzeczy biorąc: za czasów wolności — biurowość była nieznaną, za niewoli — niedostępną, — chcąc nie chcąc tedy trzeba było pozostawić na niższych stanowiskach wielu prusaków, a wyższe obsadzić, jak się dało, swoimi.

Polityka pruska nie zaniechała niczego, aby obniżyć tak stan moralny, jak i materialny. Zaniedbując publiczne wychowanie, a tolerując rozpustę i utracjuszostwo, zaprowadzili prusacy, dla ułatwienia kredytu urzędzenia hipoteczne, z których skwapliwie korzystano, żyjąc nad stan i zmniejszając bogactwo kraju. Potem przyszła wojna, ofiary na odbudowanie ojczyzny, wreszcie zamknięcie przez 2 lata jedynej dla handlu arterji komunikacyjnej — Wisły, które

sprawiło, że pieniądze brane rok rocznie za spławiane produkty rolne, nie doszły do zwykłych rąk, i ilość ich ogromnie się zmniejszyła przez wojenne wypadki.

Gdy do wszystkiego tego dodamy jeszcze wydatki, jakie kraj musiał ponosić na utrzymanie, oraz żołd wojsk francuskich i swoich, wynoszący 8500000 złotych dla tych ostatnich tylko,—ich wyekwipowanie, koszty fortyfikacji miejsc obronnych, oraz ogromne ofiary na cele patryjotyczne,—łatwo zrozumieć, że wszystko to poprowadziło prosto do bankructwa, które też nastąpiło w chwili, gdy księstwo najbardziej potrzebowało środków materialnych.

Konstytucja, ograniczająca się w kwestji włościańskiej słowami: „znosi się niewola, wszyscy obywatele równi są w obliczu prawa” — przyczyniła się tą zwięzłością również do pogorszenia stanu ekonomicznego. Orzeczenie to było niewystarczające, a przez to wzniosła idea dała realne wyniki — złe! Za mało jest znieść niewolę, trzeba jednocześnie określić, jak i z czego będzie żyć ten, któremu się nadaje pierwsze kardynalne prawo człowieka—wolność, jeśli zwłaszcza

cza obdarowany nie jest przygotowanym zawnazu do tego, co go spotyka.

Dla naszych włościan wolność byłaby dopiero wtedy prawdziwym dobrodziejstwem, gdyby ją obwarowano uregulowaniem kwestji agrarnej, bądź to za pomocą wykupu przez państwo z rąk obywateli gruntów potrzebnych dla włościan, bądź ściśłem oznaczeniem czynszów, jakie mieli płacić dawni poddani za otrzymane grunty państwu lub obywatelom, stosownie do tego, z czyich rąk by je otrzymali. Trudno wymagać, aby ówczesna konstytucja rozstrzygnęła w zupełności kwestję agrarną, która do dzisiaj jeszcze uregulowaną nie jest, lecz cośkolwiek z powyższego uczynić nie tylko mogła, lecz powinna była. Pomieniony dekret książęcy z d. 21 grudnia 1807 r. również nic nie uczynił, rozjaśniając tylko artykuł konstytucji drobiazgowem określeniem praw wolności. Ot i wszystko!

Jakież wyniki dała ta wolność w praktyce?

Dodatnie były te, że, znosząc hańbiącą każdy kulturalny naród niewolę, dało możliwość całej masie ludności służenia ojczyźnie na wszelkich polach, a że garnęli się do te-

go nowi obywatele, najjaskrawiej stwierdza fakt, że nie będąc na razie w stanie służyć głową wskutek nieprzygotowania, oddali jej swe silne dłonie, gromadnie wstępując do szeregów, w których zawsze i wszędzie dzielnie walczyli.

Ujemne wyniki odbiły się i na oswobodzonych i na dawnych władcach, a razem na całym kraju.

Korzystając z nadanej swobody ruchu, nie mając przytem żadnych praw do ziemi, z której dotychczas żyli, zaczęli włościanie opuszczać swe siedziby i to nie wyłącznie tam, gdzie panowały złe stosunki z miejscowym obywatelem, ale częstokroć w tej myśli, aby dobre zamienić na lepsze, albo wreszcie z wrodzonego wszystkim żyjącym stworzeniom popędu do bezwiednego ruchu, po wydobyciu się z więzów. Skutki były opłakane: włościanie stawali się bezdomnymi tułaczami, obywatelom zabrakło rąk do pracy, a wszystko razem do ostatka wyniszczało kraj.

Na domiar złego zostało księstwo obarczone przez swego twórcę, pod pokrywką dobrodziejstwa, potężnym ciężarem, tak

zwanemi smutnej pamięci „sumami bajon-
skimi”.

Ogromne wierzytelności hipoteczne po wyjściu księstwa z pod panowania Prus powinny były przypaść królowi saskiemu, jako nowemu władcy, zostały jednak przyznane Napoleonowi, a wynosiły aż 47000000 franków. Gdy 24 stycznia 1808 r. delegaci księstwa, Bieliński, Działyński i Stanisław Potocki, przedstawili cesarzowi fatalny ekonomiczno-finansowy stan powołanej przezeń do życia politycznej jednostki, Napoleon, chcąc, jak się wyraził, przyjść z pomocą państwu, ustąpił owe 47 za 20 miljonów. Ponieważ owe popruskie wierzytelności, zahipotekowane na majątkach zrujnowanych i strasznie odłużonych, nie miały przeto żadnej gwarancji i nie mogły być ściągnięte nawet przy użyciu bardzo ostrych środków (co się dobitnie okaże niżej),— całe to dobrodziejstwo równało się wyrwaniu nam 20000000 franków; było to bowiem tak, jakby kto, korzystając ze swej siły, zmusił słabszego do wypłacenia gotówki za weksel zbankrutowanego nieboszczyka.

Na dobitkę, spłatę tej sumy postawiono na pierwszym miejscu w rządzie skarbo-

wych wypłat, a pokrywać tej luki nie było sposobu, pomimo użycia takich środków, jak sekwestr majątków i przymusowa ich sprzedaż za $\frac{3}{4}$ wartości. Kto nic niema, ten nic nie zapłacił! To też po 7 latach na skutek postanowień wiedeńskiego kongresu sumy te wróciły z powrotem do rządu pruskiego. Ale 20000000 poszło z kraju do Francji wtedy, gdy kraj ten stał nad brzegiem ruiny.

Nazwę swą wzięła ta smutna dla nas historia od miasta Bajonny, gdyż tam stanął cały układ w marcu 1808 r.

Jeśli w opisanym wyżej fakcie charakter Napoleona maluje się nie w arcy-pięknem świetle, nie bez winy pozostają i przedstawiciele rządu księstwa. Nie posiadali oni, jak to się jeszcze i później okaże, obok najlepszych chęci, dostatecznej znajomości rzeczy i fachowości, a tradycyjna staro-szlachecka buta i próżność zniewalały ich do fałszywych kroków. Nadto z klasy, która nie posiadała własności i do legionów nie poszła, a za czasów pruskich utrzymywała się jak i z czego się dało, — utworzył się z chwilą otwarcia dostępu do posad rządowych zastęp, gotów na wszystko za złoto i wy-

wyższenie. Ci wyzyskiwali na swą korzyść słabe strony sfer u steru stojących, liczba urzędników w porównaniu do czasów pruskich wzrosła olbrzymio, a w odpowiednim stopniu i wydatki na ich wynagrodzenie. Prócz tego, ludzie ci zdolni do przekupstwa, a żądni grosza, demoralizująco wpływali na środowiska, w których się znajdowali i różnymi biurokratycznymi kruczkami wyludzali pieniądze z ciemnych mas ludu i z niemających o niczem pojęcia, co się tyczyło formalistyki, dziedziców-szlachty

Obok wojskowości jedno tylko szkolnictwo przedstawiało się dobrze, nie potrzebując walczyć o środki do rozwoju, dzięki odziedziczonym po Komisji Edukacyjnej funduszom, których prusacy nie zdążyli przefrymarczyć, a zbawcy-francuzi sobie przywłaszczyć. Podnosiła się więc oświata. Zwiększono znacznie liczbę szkół elementarnych, ufundowano w Warszawie 3 licea, w departamencie łomżyńskim—2, a w pozostałych po jednym; założono wyższą szkołę prawa i administracji, lekarską i seminarjum nauczycielskie w Łowiczu, oraz szkoły kadetów w Kaliszu i Chełmnie. Prywatne fundusze też przyczyniły się do pod-

niesienia szkolnictwa, tak naprz. ks. Józef ufundował w Warszawie 2 szkoły wojskowe, t. z. aplikacyjne: jedną — dla artylerzystów, drugą — dla saperów.

Dla dopełnienia obrazu dodać należy, że Napoleon zubożył księstwo przez nadanie ogromnych dóbr swym marszałkom, wobec których parę darowizn polakom — było czemś filigranowem, jak np. Winnej Góry — Dąbrowskiemu. Nadanie to można wprost uważać jako kompensatę za pieniądze użyte przez generała w swoim czasie na potrzeby walczących za Francją legjonów, a które otrzymał ze sprzedaży swego dziedzictwa — Pierzchowca.

Dalej, naczelnik francuskiej siły zbrojnej, marszałek Davoust, waleczny, prawy żołnierski charakter, ale brutalny przytem i gwałtowny, dał się na razie wszystkim we znaki, a zwłaszcza ks. Józefowi, przeciw któremu zajadle intrygowano. Sporo czasu upłynęło, nim się to wyjaśniło, a ileż przedtem było zajść i przykrości? Rezydent francuski, Vincent, także wyrabiał co chciał, aż w końcu tak dokuczył samemu księciu, iż ten dyplomatycznie się postarał o usunięcie nieznośnego francuza.

Wszystko to przeradzało entuzjazm ku Napoleonowi w pewną, nawet niechęć, której źródło leżało w jego umyślnem i konsekwentnem, a na każdym kroku z naciskiem pomijanem wygłoszeniu nazwy „Polska” i „polacy” od chwili zawieszenia broni w Tylży. Dopiero co przytoczone fakty źródło to pogłębiły, a wszystko razem nie mogło jednać serc ogółu temu genjuszowi, nazwanemu w swoim czasie „zbawcą”. Niezadowolnienie to nie rozciągało się tylko na armję, a o przyczynach tego zjawiska pomówimy nieco dalej.

Teraz musimy dodać, że niechęć powiększyła się jeszcze, gdy Napoleon, któremu oddano do rozstrzygnięcia spór, czy obowiązani są obdarowani francuzi do ponoszenia pewnych ogólno-krajowych ciężarów, tych samych, mianowicie, jakie ponosili ich poprzednicy, — starostowie, — wydał dekret, mocą którego majątki te wyłączone zostały z kompetencji władz księstwa, jako zależne wprost od cesarza, a więc zwolnione ze wszelkich ciężarów.

Stało się to wtedy, gdy formalnie tracono głowy na wyszukiwaniu środków materialnych w wyniszczonym kraju. Dopiero

w kilka miesięcy potem, na przedstawienie nowego rezydenta, Serra, dekret ten został uchylony. Lecz wrażenie o wiele przetrwało sam fakt.

Chcąc choć nieco zaradzić złemu, bez tradowania obywateli, którzy po części i dlatego się zadłużyli, że nie liczyli się z ofiarą dla kraju, powzięto projekt zaciągnięcia przymusowej pożyczki u dzierżawców dóbr narodowych, pomimo stanu zniszczenia posiadających jeszcze wielką wartość. Z powodu braku gotówki projekt ten upadł, jak również i następny o wypuszczenie w dzierżawę tej części owych dóbr, która była wolną. Oba te projekty miały przynieść skarbowi 60000000 złotych dochodu.

Tu wychodzi na jaw wspomniana już niefachowość sfer rządzących. Projekty nie przysły do skutku, bo nie mogły, jako błędne w samym założeniu: czyż bowiem kapitaliści mogli zaufać rządowi nieustalonemu oraz zdradzającemu absolutny brak kredytu i kapitałów w kraju?

Zarówno niefortunnym okazał się projekt Rady Stanu, o zaciągnięciu na potrzeby wojska 4500000 złotych pożyczki wewnątrz-

nej, zabezpieczonej przez obligacje na dobrach narodowych. Rozeszło się tych obligacji niewiel: wzięli je ci jedynie, którzy mieli prócz chęci jeszcze i fundusze, aby darować ojczyźnie parę tysięcy złotych; reszta została, bo chętnych było dużo, ale majątnych bardzo mało, a wobec upadku ceny ziemi, braku kapitałów i wyniszczenia dóbr narodowych nie przedstawiały one pewnej gwarancji.

Jako jeszcze jeden dowód nieumiejętności, a zarazem zbytnej ambicji kierowników państwa, może służyć fakt, iż wojsko umundurowano na wzór francuski, czyli drogo i, u nas zwłaszcza, niepraktycznie; ba! nawet starano się przewyższyć francuzów! Jakież były skutki tego? Oto takie, że gdy generał Fiszer w celu zmniejszenia wydatków przedstawił Napoleonowi nowy plan organizacji wojska, cesarz rozkazał obsadzić twierdze pruskie naszymi pułkami, których utrzymanie tem samem spadło na rząd pruski, ale to znów osłabiło kraj i kto wie, jakieby za sobą pociągnęło rezultaty, gdyby wojna z Austrią w następnym zaraz roku prowadzona w innych odbywała się warunkach i na innym terenie.

Z monetą obiegową zaszła też fatalna historia. Prawo jej bicia było wydzierżawione żydom, którzy zalewali kraj tak zwanymi dytkami, nie posiadającymi połowy obowiązkowej wartości, a przez to po za obrębem księstwa żadnego kursu, co, z kolei spowodowało wyłowienie złota, a cała armja francuska, w kraju konsystująca, zaczęła otrzymywać żołd w dytkach. Gdy w marcu 1808 r. doszło do tego, że wypłacono w ten sposób aż 3000000, Rada Stanu ogłosiła redukcję, płacąc w stosunku 1 za $1\frac{1}{2}$. Środek ten wywołał drożyznę i wzbranianie się przyjmowania dytków, a gdy użyto środków przymusowych — wybuch rozpaczny i zmniejszenie wagi produktów najpierwszej potrzeby, — chleba w pierwszym rzędzie. Wszystko razem nic złemu nie zaradziło, lecz tylko wywołało burzę i brutalne wdanie się Davousta, załagodzone jedynie rozumem i taktownem zachowaniem się wice-prezydenta miasta, Węgrzeckiego, oraz przedstawieniem rezydenta Serra, który na razie sam był oburzony.

I tu rząd pozostał nie bez winy: minister skarbu Dembowski odznaczał się wprawdzie

swą nieskazitelnością, ale zaleta ta sama jedna bez fachowej znajomości rzeczy i zdolności nie wystarcza dla sprostowania obowiązkom w takich na domiar trudnych okolicznościach, jak opisywane.

Mimo wszelkie błędy i usterki nie wolno jednak rzucać kamieniem potępienia na tych ludzi, bo należy pamiętać, że co było złego, to nie ze złej woli pochodziło, ani z próżniactwa, a jedynie z nieświadomości i niefachowości. Powinniśmy za to pamiętać i wysoko cenić tę bezinteresowność, gorliwość i poświęcenie, z jakimi mężowie ci służyli krajowi, nie szczędząc ani mienia, ani fatygi, ni czasu, ni zdrowia! Na zarzut zaś, że poznawszy swą nieudolność po skutkach, powinni się byli usunąć, dając miejsca zdolniejszym i umiejętniejszym, jest jedna, ale za to zupełnie wystarczająca odpowiedź: — gdzie i kto byli ci, dla których mieli się usunąć szlachetni i prawi obywatele?—Czy czasem nie karjerowicze-lapownicy, o których wyżej była mowa?—Czy też miano udać się z korną prośbą do „twórcy” księstwa, aby nam przysłał ministrów i senatorów?—Chyba ani jedno, ani drugie!

Po tem wszystkim przedłożyli księciu

Gutakowski i Łuszczewski memorjały w sprawie opłakanego ekonomicznego stanu kraju. Pierwszy z nich opiewał „niepodobieństwo znalezienia w kraju sposobów zaradzenia złemu”, drugi podawał w tym celu następujące projekty: 1) ustąpienie z księstwa wojsk francuskich, 2) wzięcie ich na żołd cesarstwa, 3) wojsk polskich na etat pokojowy oraz 4) zlikwidowanie we Francji wszystkiego, co dla jej wojsk dostarczono. Z uwagi na stosunek księcia do Napoleona, nietylko, że żaden z wyliczonych projektów nie został wykonany, lecz nawet do wiadomości cesarza podany, a tylko przedstawiono cały stan rzeczy w ogólnych cyfrach rezydentowi.

Cała tedy sytuacja była bez wyjścia, na co ani trochę nie zaradził dekret o oddawaniu pod sąd wojenny wzbraniających się przyjmować dytki, zarówno, jak inne mniej ostre środki i próby nalewania z próżnego.

XIV. Pierwszy sejm.

W takich to niewesołych warunkach zebrał się pierwszy sejm księstwa d. 9 marca 1809 r., poprzedzony posiedzeniem senatu,

oraz sejmikami i zgromadzeniami gminnymi, na których po raz pierwszy na ziemi polskiej obrano posłów wszędzie spokojnie i w zupełnym porządku.

Marszałkował na tym pierwszym sejmie Tomasz Ostrowski, b. podstoli koronny, a zagał obrady sam księżę serdeczną, po polsku wygłoszoną mową. Następnie przemówił minister spraw wewnętrznych, Łuszczewski: przedstawiając bez osłon cały stan rzeczy, szczegółowo wykazał braki i ich powody.

Pierwszy ten sejm musiał się zająć przede wszystkim sądownictwem i finansami.

Uchwalono tedy, aby w sprawach karnych stosowano prawo polskie lub pruskie: w każdej poszczególnej sprawie to z nich, które naznacza w danym wypadku łagodniejszą karę. Następnie sejm stanowczo się wypowiedział przeciw złemu traktowaniu więźniów i wydał stosowną uchwałę. Wreszcie przyjęto w całości kodeks handlowy francuski i pozostawiono uznaniu księcia doprowadzenie armji do określonej przez konstytucję normy. Sprawy te załatwiono zgodnie i szybko, poczem przystąpiono do jądra obrad,—podatków,

Uchwalono: 1) 4200000 złotych na potrzeby wojska, jako powiększenie podatku, nazwanego „ofiarą”; 2) obciążenie opłatą patentową wszystkich handlujących i zawodowców, za wyjątkiem niektórych fabryk i wszystkich pracowników instytucji rządowych; 3) 2300000 złotych, rzłożonych na wszystkich obywateli kraju, na koszty wzmocnienia miejsc warownych; 4) podatek od mięsa koszernego; 5) dostawę przez obywateli ziemskich w naturze 300000 korcy zboża i 550000 centnarów paszy dla armji; wreszcie 6) podwyższenie podymnego. Ogólnie uchwalono ciężarów na sumę 48000000 złotych, co wyniosło po 24 złote na głowę, licząc kobiety i dzieci.

Tak wysokie opodatkowanie, wprost olbrzymie w stosunku do ogólnej biedy, było aktem najwyższego patryjotyzmu i poświęcenia; — a przeszły te uchwały bez sporów i opozycji, która wystąpiła raz tylko i to zupełnie w innym celu, mianowicie: z tradycyjnej obawy naruszenia konstytucji. Poszło bowiem o to, że wszyscy członkowie Rady Stanu mieli prawo głosu na sejmie, z czego wynikła pomieniona obawa, że w razie, gdy monarcha zechce przeprowa-

dzie jaką uchwałę wręcz nawet przeciwną opinii przedstawicieli narodu, a w ostateczności i artykułom konstytucji, dość mu będzie ilościowo powiększyć Radę Stanu, aby osiąść potrzebną liczbę głosów za swoim projektem.

Wśród wywiązanej z tej racji dyskusji radca stanu, Linowski, ogólnie znany i ceniiony, jako wielki patryjota i zacny obywatel, czując się dotkniętym takim przypuszczeniem i rozgniewany dowodzeniem jednego z młodszych posłów, zauważył że, gdy ci, na których rzuca potwarz,—służyli już krajowi, sam poprzedni mówca był jeszcze w powijakach. Na to powiedzenie zażądała izba, aby ten, kto obraża jednego z przedstawicieli narodu, opuścił salę obrad, które w przeciwnym razie zostaną zerwane, a tem samem i cały sejm. Z załagodzeniem starcia pośpieszył sam książę, wzywając do siebie Linowskiego, nie chcącego zadośćuczynić wymaganiu izby, oraz wydając dekret, którym ograniczył liczbę członków Rady Stanu z prawem głosu na sejmie do 6, prócz jej prezesa i ministrów, co razem uczyniło 12 głosów.

Prócz tego zajścia, któremu jednak nie

można zarzucić bezpodstawności, sejm odbył się na równi z sejmikami i zebraniem gminnymi wzorowo. Odrzucono tylko jeden projekt o stopie menniczej, co do której proponowano zmniejszenie przez przyjęcie konkurencyjnej niemieckiej.

24 marca 1809 r., w przededniu nowych krwawych zapasów, sejm zakończył swą działalność. Cały nasz naród przez usta swych przedstawicieli wypowiedział głośno swą miłość ojczyzny i stwierdził ją czynnie, nie cofając się przed żadną ofiarą.

XV. Systemat kontynentalny. Wojna z Hiszpanją. Zdobycie wąwozu Somosierry.

Nad Europą tymczasem znów się zebrały chmury:—proch czuć było w powietrzu.

Pokój tylżycki i skutek jego, franko-rosyjska przyjaźń, dążyły w pierwszym rzędzie do pognębienia Anglii, które opierał Napoleon na wymyślonym przez siebie „systemacie kontynentalnym”, narzuconym wszystkim pokonanym na polu walki orężnej państwom, a do którego przystąpiła w Tylży i Rosja. Systemat zasadzał się na

tem, że państwo, biorące w nim udział, zamykało swe porty dla angielskich okrętów i wogóle zrywało stosunki handlowe z Anglią. W ten sposób chciał Napoleon zrujnować finansową potęgę znienawidzonych wyspiarzy.

Po Tylży, już tylko Szwecja, Danja, Portugalja i Hiszpanja nie brały udziału w systemacie, a handel Anglii mocno został nadwyrężony, choć próbowano ryzykowej kontrabandy. Za to też czyhali wzamian anglicy na najmniejszą okazję dla wzniecenia pożaru wojny przeciw Napoleonowi.

Aleksander I zgodził się w Tylży nie tylko wziąć udział w systemacie kontynentalnym, lecz nadto nakłonić do niego 3 pierwsze z pomienionych państw, za co w myśl przedłożonego sobie przez Napoleona projektu rozbioru Turcji, miał otrzymać część ziem padyszacha. W taki to sposób chciał cesarz francuzów wprowadzać w wykonanie swój plan tajemny, a wymarzony, o którym była już wyżej mowa.

Lecz przyjaźń franko-rosyjska, oparta wyłącznie na osobistej — dwóch cesarzy, nie mogła być trwałą, zwłaszcza wobec bezgranicznych ambicji Napoleona i jego despo-

tyzmu. Nadto, Anglja, widząc, co jej grozi, szukała sobie z powodzeniem stronników wśród rosjan, podburzała wrzące chęcią odwetu Prusy i Austryję, a co ważniejsze, korzystając z nieładu panującego na półwyspie Pirenejskim, usadowiła się pod bokiem swego zaklętego wroga: — w Hiszpanji i Portugalji. Musiał więc Napoleon przedewszystkiem wyparować tego nowego, a tak niedo-
godnego i niebezpiecznego sąsiada.

Dla ułatwienia sobie zadania zaproponował Napoleon królowi hiszpańskiemu, Karolowi IV podział Portugalji, na co ostatni szybko się zgodził. Na tej zasadzie korpus francuski marszałka Junot wszedł do Hiszpanji i połączywszy się z armją Karola IV, zajął Portugalję. Tak bez rozlewu krwi i kosztów znaleźli się francuzi po tamtej stronie trudnych do przebycia Pirenejów. Teraz Napoleon odkrył karty i, korzystając z niesnasek w łonie domu królewskiego i sfer rządzących, zdetronizował zwabionych do Bajonny Karola IV i jego syna Ferdynanda VII (który objął tron z powodu abdykacji ojca), a królem Hiszpanji ogłosił swego brata, Józefa, powierzając jego

dotychczasową koronę neapolitańską, szwagrowi swemu, Muratowi.

Zdawało się nietylko Napoleonowi, lecz i wszystkim, że cel został osiągnięty, gdy wtem zjawiała się przeszkoda tem groźniejsza, że niespodziewana: naród hiszpański ocknął się nagle i chwycił za broń, aby wyprzeć ze swej ziemi nieproszonego opiekuna. Wzięcie pod Baylen do niewoli przez hiszpanów korpusu Duponta, zachwiało wiarę w niezwyciężoność wojsk francuskich, zmuszając Napoleona do zwrócenia całej uwagi i wszystkich sił na punkt zagrożony.

Wypadek ten dał nowy impuls Prusom do pracy nad odwetem, a w Austrii partja wojenna zaczęła brać górę. Na razie jednak z tych dwóch stron była cisza, ponieważ Napoleon w porozumieniu z Aleksandrem I zwołał w październiku 1808 r. zjazd monarchów do Erfurtu, który się odbył z niebywałym przepychem i blaskiem. Musiał jednak tutaj Napoleon dla zapewnienia sojuszu z Rosją poczynić znaczne ustępstwa, zwłaszcza, że jej władca znacznie ostygł w swych zachwytach nad sprzymierzeńcem, coraz lepiej poznając jego niepohamowaną żądzę przywódzenia świata całemu.

Bądź co bądź jednak miał Napoleon rozwiązane ręce do działań w Hiszpanji, dokąd też zaraz ruszył na czele swych zastępów.

Niedługo to jednak trwało.

Austrja, poruszona ostatnimi wypadkami, popychana przez wpływy angielskie i niemieckie, coraz wyraźniej parła do wojny, a choć wskutek stanowczej odmowy wiernego słowa cesarza Aleksandra zawiodła ją nadzieja, że uda się Rosję nakłonić do przyłączenia, — wzięła koniec końców partja wojenna górę i 9 kwietnia 1809 r. wkroczyły wojska austriackie pod wodzą arcyksięcia Karola — do Bawarji, — Jana — na terytorjum ligi reńskiej, a w parę dni później arcyksiążę Ferdynand wtargnął do księstwa Warszawskiego. Było to wypowiedzenie groźnej wojny, bo arcyksiężęta prowadzili ze sobą 300000 żołnierza.

W Hiszpanji tymczasem wrzała walka straszna, rozpaczliwa. Nie będąc w stanie dostać w otwartem polu takim wojskom i wodzom, jak napoleońscy, walczyli hiszpanie z za murów warowni, o każdy krzak, dom lub wzgórek, utworzywszy tysiące oddziałów partyzanckich, tak zwanych, gery-

lasów. W walce wzięli udział starcy, kobiety i dzieci, zatrutowano studnie i źródła, palono zboże i winnice,—jednem słowem,—najeźdźnicy mogli liczyć tylko na swą broń i wodzów. Była to walka bezpardonowa, na śmierć i życie, splamiona okrucieństwami ze stron obydwóch, choć hiszpanów tłumaczy jeszcze patryjotyzm, wściekłość na najeźdźników, a francuzów—nic!

W walkach tych uczestniczyli i polacy, których nawet tutaj zagnał los, — mianowicie: pułk szwoleżerów gwardji, legja nadwiślańska, oraz dywizja (pułki 4, 7 i 9) wojsk księstwa warszawskiego. Ci, co sami walczyli o swą wolność, przyszli tu, jakby przez jakąś dziejową ironję, — wydrzeć ją innym!

Pułki nasze okryły się nieśmiertelną sławą, budząc swymi czynami podziw najwaleczniejszych oddziałów francuskich. Zwłaszcza pułk szwoleżerów pod wodzą Wincentego Krasieńskiego, złożony z kwiatu młodzieży, zdobył takie wawrzyny, że śmiało uważanym być może za najdzielniejszy i najświetniejszy pułk kawalerji wszystkich czasów i narodów, nie ustąpił bowiem nawet swym poprzednikom—skrzydlatym husarzom.

A jednak, gdy te tułacze pułki przybyły do Bajonny, gdzie przed wyruszeniem w pochód przebywał Napoleon, nieświecie się podczas przeglądu przedstawiły: żołnierz, przeważnie młody i niewyćwiczony, marnie wyglądał w porównaniu ze starymi pułkami francuskimi, zwłaszcza z gwardją cesarską.

I cóż sprawiło, że ci ludzie od samego niemal początku przewyższyli swych sławnych towarzyszków? Ta sama siła, która ich zniewoliła do walki z broniącymi swej niepodległości hiszpanami, — miłość ojczyzny. Bo choć polacy z natury byli żołnierzami, nie dokonaliby jednak tych cudów waleczności, gdyby nie myśl, że ten, który ich tu wezwał, zwróci im ojczyznę za ich krew i pomoc. I tu znów, jak we Włoszech, Niemczech i na San-Domingo umieli nasi wojacy swą ludzkością zdobyć uznanie i szacunek przeciwników, którzy początkowo mieli ich za ludożerców niemal.

Napoleon, objąwszy osobiście dowództwo nad wojskami, szedł na Madryt, prąc przed sobą hiszpańskie oddziały, a w pochodzie tym u jego boku stale przebywał nasz pułk szwoleżerów.

Rano 30 listopada 1808 r. stanęła armja u stóp łańcucha gór Gnadarrama, przed wylotem wąwozu Somo-Sierra, jedynej prostej drogi do Madrytu. Wąwóz ten w najszerszem miejscu zaledwo 10 łokci szeroki, posiada 4 zakręty, a w każdym z nich ustawił hiszpański wódz San Benito po 4 działą, u wylotu zaś, osłoniętego przez rzeczkę—8; nadto strome, skalne ściany wąwozu obsadził 13000 strzelców i piechoty.

Daremne były wysiłki francuskiej piechoty: kilkakrotnie odparta, zdziesiątkowana strasznym ogniem, cofnęła się, zasypawszy tylko rzeczkę swemi ciałami i faszyną.

Zniecierpliwiony Napoleon rozkazał wtedy 3-mu szwadronowi szwoleżerów, złożonemu ze 125 ludzi, a pełniącemu dnia tego służbę, szarżować wąwóz. O ile czyn taki mógł być uważanym za niepodobieństwo, mamy najlepszy dowód, iż znany z szalonej odwagi marszałek Bessières, usłyszawszy rozkaz, zwrócił się do cesarza ze słowami: „najjaśniejszy panie, to niepodobieństwo!“—na które usłyszał w odpowiedzi z ust Napoleona: „niepodobieństwo? dla moich pola-

ków nie ma niepodobieństw!" I nie omylił się, nie przesadził ten bożek wojny!

Dowódca szwadronu, Kozietułski, uformowawszy go w czwórki, z okrzykiem: „niech żyje cesarz!" ruszył naprzód rysią, potem wcał.

Pomimo straszliwego ognia, gnali szwoleżerowie, jak huragan, nie dając się ani na chwilę powstrzymać w szalonym pędzie. Lotem błyskawicy wpadł szwadron, zagarnawszy pierwszą baterję, do wężozu i leciał przezeń, roznosząc, jak trąba powietrzna, wszystko dokoła na szablach i kopytach. Wnet polskie ręce zarębały kanonierów, a gdy 1-szy szwadron pod Łubieńskim ruszył na pomoc towarzyszom, już ostatnią baterję zdobywał młodziutki porucznik Niegolewski.

Pomocniczy szwadron nie miał więc już w samym wężozie nic do czynienia. Żaden wódz, żaden rozkaz nie był w stanie wstrzymać ogarniętych panicznym strachem hiszpanów, — rzucili się do ucieczki, a za nimi popędził szwadron Łubieńskiego wraz z niedobitkami 3-go—i ścigał, dopóki rozkaz cesarski nie wstrzymał pogoni. Wszystkie działa, 10 sztandarów i 3000

jeńców były trofeami tego dnia chwały pod Somo-Sierra, gdzie

„ otrzymał polak zwycięstwo,
Głóskami szablą w skale rytymi
Wiekom przekazał swe męstwo.
Dotąd tam sławni synowie Lecha,
Dotąd pieśń polską grają tam echa!” *)

Nasi bohaterowie drogo opłacili swoje wawrzyny; z całego szwadronu ocalało ich—68; z 7 oficerów trupem padło—4: Dziewanowski, Krzyżanowski, Rowicki i Runowski, raniono 2,—Kozietuskiego i Niegolewskiego, nietkniętym pozostał jeden Szepczycki, gdyż wysłany z ordynansem nie brał w szarży udziału. Z podoficerów żaden nie wyszedł cało.

Droga do Madrytu dzięki naszym szablom stała otworem.

Czyn ten niezrównanego bohaterstwa nazwał Napoleon „świątą szarżą, jakiej nigdy nie było (charge brillante, qu'il n'y a eu jamais”), a przy spotkaniu z pułkiem, zdjął kapelusz, co mu się nigdy ani przedtem ani

*) Gomulicki.

potem nie zdarzyło, ze słowami: „cześć najwaleczniejszym z najwaleczniejszych!”

Legja Nadwiślańska, przydzielona do korpusu Lannes'a świetnie się odznaczyła w bitwie pod Tudelą, gdzie generał Lefèbvre-Desnouettes, mając rozkaz za wszelką cenę złamać szybko nieprzyjaciela z pozostawieniem do własnego uznania wyboru pułku, poprowadził pułk ułanów pod Konopką, którzy, rozbiwszy w świetnej szarży kilka czworoboków hiszpańskiej piechoty, rozstrzygnęli zwycięstwo. Następnie zbierała legja wawrzyny podczas dwukrotnego oblężenia Saragossy, dokonując cudów waleczności. Najwięcej zasłynął tu pułkownik Chłopicki, legjonista, dowódca 1-go pułku piechoty.

Straszne się tam toczyły boje: hiszpanie bowiem każdy dom zamienili w warownię i bronili ze straszną zajadłością i rozpaczą straceńców. Polacy szli wszędzie na pierwszy ogień, a jak walczyli, niech świadczą słowa grenadjera francuskiego, „wielki Boże! jakże to się stać mogło, że wasza Polska zginęła, gdy wy się tak bijecie!” 21 lutego 1809 r. Chłopicki, już jako generał brygady, zdobył klucz warowni, klasztor Santa-

Engracia, i zaraz potem Saragossą się poddała.

Dywizja wojsk księstwa Warszawskiego walczyła w prowincji Estramadurze, gdzie się również wielokrotnie odznaczyła, zwłaszcza pod Cindad Reale i Almeraz.

Takie były najwybitniejsze epizody z walk naszych w Hiszpanji, skąd wycofano polskie szeregi dopiero w 1812 r. za wyjątkiem szwoleżerów, którzy, jako gwardja, towarzyszyli wszędzie cesarzowi, a więc przed połową 1809 r. znaleźli się nad Dunajem naprzeciw austriaków, z którymi już od kwietnia walczyli nad Wisłą ich rodacy.

XVI. Książę Józef Poniatowski. Zdoby- cie Galicji.

Jak tu już wspomnieliśmy, w połowie kwietnia 1809 r. arcyksiążę Ferdynand wtargnął do księstwa na czele 40000 korpusu austriackiego.

Przeciw tym siłom mogło księstwo wystawić zaledwo około 15000 żołnierzy, licząc razem z oddziałem sasów, posiadającym 1200 ludzi, — i to przeważnie świeżych i niewyćwiczonych, większa bowiem i lepsza do

tego część wojsk księstwa, jak to już wiadomo, załogowała w twierdzach pruskich, a cała dywizja walczyła na dalekim południozachodzie, w Hiszpanji.

Wobec słabości sił i nieprzygotowania z powodu niespodziewanego wybuchu wojny, doszli austriacy bez przeszkody pod samą stolicę

Naczelny wódz nasz, ks. Józef, wiedziony li tylko poczuciem honoru, zastąpił wrogom drogę pod Raszynem, odległym o dwie mile od Warszawy, 19 kwietnia 1809 r.

Dzień cały garstka polaków toczyła bohaterki bój z czwórnasób liczniejszym wrogiem. Zginął poeta-bohater, waleczny legjonista, pułkownik Cyprjan Godebski, dowódca 8 pułku piechoty, broniąc wraz z Sokolnickim lasku pod Falentami. I wódz nasz okrył się chwałą: dzielny ks. Józef osobiście poprowadził do ataku pułk Małachowskiego idąc w pierwszym szeregu z bagnetem w dłoni i fajką w zębach.

Wojska nasze utrzymały się na polu walki i dopiero wieczorem cofnęły się w największym porządku do Warszawy, nie utraciwszy ani jednego działą, ani sztandaru.

Zginęło naszych około 2000, austriaków dwa razy tyle.

Dzięki tej bohaterskiej walce, arcyksiążę Ferdynand, widząc, że to nie przelewki, sam zaproponował zawieszenie broni, które zostało zawarte z uwagi na konieczność wywiezienia z Warszawy zapasów i wyprowadzenia wojsk, o obronie bowiem stolicy nie mogło być nawet mowy, wobec stanu zniszczenia fortyfikacji, braku ciężkiej artylerji i żywności.

Jako linię demarkacyjną uznano Wisłę, a więc Praga została w naszych rękach pomimo oporu wodza nieprzyjacielskiego, który, gdy to spostrzegł, zagroził armatami. Na groźbę odpowiedział ks. Józef, że w takim razie sam każe strzelać najsamprzód do swego własnego pałacu. To odezwanie umitygowało arcyksięcia; postanowiono, aby załogi miasta i przedmieścia żadnych kroków nieprzyjacielskich w trakcie wojny wzajemnie nie przedsiębrały. Wojska polskie opuściły stolicę, żegnane przez tłum, nie rozumiejący stanu rzeczy, bardzo chłodno, a ks. Józefa nawet obelgami i złorzeczeniem.

Książę, wsparty radą i doświadczeniem Dąbrowskiego, rozpoczął sam działania za-

czepne. Dodać należy, że zacny generał nie intrygował przeciw księciu o jego stanowisko wodza i ministra, choć on tylko jeden mógł być czuć się pokrzywdzonym tem wyniesieniem ks. Józefa, ze względu na swe zasługi i lata służby. Inaczej zupełnie postępowali inni, z Zajączkiem na czele, który na każdym kroku czynił przykrości swemu zwierzchnikowi i przez długi czas umiał podtrzymać złe stosunki Davousta z księciem.

Po rozbiciu pod Grochowem generała Mohra i zwycięstwie pod Górą, wkroczył ks. Józef na terytorjum zaboru austriackiego, podczas gdy arcyksiążę porał się z powstaniem, zorganizowanem przez Dąbrowskiego i Zajączka w Wielkopolsce. Niebawem staropolski gród, Lublin, otworzył bramy zwycięskiemu ks. Józefowi. Dwa potężnie obwarowane miasta, Sandomierz i Zamość, również zostały w krótkim czasie zdobyte: pierwszy przez zwycięzcę z pod Góry, Sokolnickiego, drugi — przez Pelletiera, przyczem zabrano kilkadziesiąt dział, znaczne zapasy wojenne i 1000000 złotych reńskich w gotowiźnie.

Wszędzie rodacy z austriackiego zaboru

witali radośnie naszych wojaków, dostarczając wszystkiego, co było potrzebnem, a szeregi polskie rosły liczebnie dzięki gromadnemu napływowi ochotników, ekwipowanych kosztem galicyjskich obywateli, z pomiędzy których najętniejsi wystawiali własnym sumptem całe oddziały. Krótko mówiąc, powtórzyło się tu to samo, względem ks. Józefa, co przed trzema laty w b. zaborze pruskim względem Napoleona.

1 czerwca na wieść o zajęciu przez Polaków Lwowa opuścił Ferdynand Warszawę i, pozostawiając w księstwie przeciw Dąbrowskiemu i Zajączkowi korpus Mondeta, pośpieszył do Galicji. Pomienieni generałowie nasi, zebrawszy przeszło 12000 zbrojnych ruszyli na południe, potężnie naciskając generała Mondet, który, chociaż pobił zarozumiałego Zajączka pod Jedlińskiem, nie przestał się cofać aż do połączenia z główną armją, które nastąpiło pod Sandomierzem. Miasto zostało z kolei obleżone przez Austriaków i wkrótce się poddało. Lecz kapitulacja ta przyniosła jedynie zaszczyt komendantowi twierdzy, Sokolnickiemu: — cała załoga opuściła warownię z bronią w ręku, wszystkimi działami i ba-

gazami, obrona bowiem wobec zniszczenia obwarowań i braku amunicji była niemożliwą.

Tymczasem ks. Józef, stoczywszy zwycięski bój pod Gorzycami, znów znalazł się po połączeniu austriackich korpusów, w obliczu ogromnie przeważającego wroga i silnego rosyjskiego korpusu, zachowanie się którego było dość dwuznaczne. Wobec tego cofnął się do Puław, a stamtąd ruszył do Radomia, gdzie nastąpiło połączenie naszych oddziałów w jeden korpus, którego siła przedstawiła się w liczbie 25000 ludzi.

Zrozumiał teraz arcyksiążę że mimo przelotnego powodzenia pod Sandomierzem, nie ma co myśleć o utrzymaniu się w księstwie; ruszył więc śpiesznie ku Krakowowi, a za nim ks. Józef, który 15 lipca stanął pod murami naszej dawnej stolicy. Ferdynanda już tam nie było: odjechał, powierzwszy dowództwo Mondetowi, który wnet zawarł z ks. Józefem rozejm, mocą którego miał oczyścić Kraków z podkomendnych, dla następnego zajęcia go przez nasze wojska. W trakcie tego zjawily się pod miastem oddziały rosyjskie.

Musimy tu wyjaśnić, jaką rolę grali do-

tychczas w tej wojnie rosjanie i skąd wzięli się w Galicji. Na zasadzie umowy w Erfurcie, Rosja obowiązana była pomagać Francji na wypadek starcia z Prusami lub Austryją. Gdy to ostatnie nastąpiło, korpus rosyjski pod wodzą Gorczakowa zajął pogranicze Galicji, ale stał bezczynnie, dopóki nie nadszedł zwycięski ks. Józef. Wtedy zaczęli się rosjanie posuwać naprzód, unikając jednak jawnie spotkania z austryjaczami, tak że poddanie Sandomierza przez Sokolnickiego nastąpiło w oczach korpusu rosyjskiego, któremu dość było wziąć broń do ręki, aby Niemców przepłoszyć.

Podobne postępowanie, które jednak daje się wytłomaczyć ówczesną niechęcią Rosjan nie ku austryjaczom, a ku Francuzom, — gniewało ks. Józefa; hamował się nasz wódz przecie z uwagi, że w razie, gdyby rosyjski korpus połączył się z austryjaczami, co wobec niekoniecznie pomyślnych wieści z nadunajskiego teatru wojny nie było wykluczone, — księstwo musiałoby zginąć, jego armja bowiem pomimo całego swego męstwa i patryjotyzmu nie byłaby w stanie oprzeć się potędze austro-rosyjskiej. Z tych względów nie wolno było wybuchać drażniącym

drugą stronę oburzeniem. Idąc przez Galicję wślad za naszymi wojskami, znaleźli się rosjanie w parę godzin po polakach pod Krakowem.

W nocy, przeznaczonej na wyjście wojsk austriackich z Krakowa, otrzymał ks. Józef wiadomość, że ściąga się na gwałt kilka pułków jazdy rosyjskiej w celu zajęcia miasta. Wódz nasz pośpieszył raniutko do bramy Florjańskiej i zastał drogę zajętą przez huzarów pułku Siewersza. Tego było już księciu zanadto: spiąwszy konia ostrogami, skoczył z takim impetem na zagradzających mu przejazd, że zwałił z koni kilku huzarów, reszta zaś rozstała się, a wódz nasz wjechał do miasta na czele swych pułków. Przybyły zaraz potem jeden z dowódców rosyjskich, generał Suworow (syn), załagodził całe nieporozumienie. Ks. Józef, ochłonawszy, zezwolił na wejście do Krakowa kilku pułków rosyjskich, ale tylko na kwartę; — komendantem miasta został polski generał, a przysięgę od mieszkańców odebrał osobiście nasz książę.

Wobec zupełnego zwycięstwa, a nawet absolutnego braku tak butnego przed 3 miesiącami wroga, miał zamiar ks. Józef ruszyć

przez Morawy na pomoc Napoleonowi, gdy nadeszła wieść o jego wielkiem i stanowczem zwycięstwie pod Wagram d. 6 lipca 1809 r., gdzie nową chwałą okryli się szwoleżerowie, rozbijając i roznosząc całe pułki austriackie. Po tej wieści rychło nadeszła druga o zawarciu rozejmu w Znaim, który położył kres działaniom wojennym.

Wojna ta okryła wawrzynami wojska księstwa warszawskiego, a ks. Józef prócz nich odzyskał nie tylko całą swą dawną popularność, lecz zdobył miłość i zaufanie całego narodu, a wojsko ubóstwiało swego zwycięskiego wodza, który, sam walcząc po bohatersku, prowadził je do sławy. Całe wrodzone męstwo, talenty i patryjotyzm księcia zabłysły wielkiem światłem, aby już nigdy nie zgasnąć, a świecić coraz jaśniej. Pomimo intryg i zawiści stanął bohater tam, gdzie stać był powinien, stał się takim, jakim przeszedł do pieśni i zachował się w pamięci wdzięcznego narodu.

Wojna 1809 r. uświęciła, potwierdziła nie tylko jego dyplom naczelnego wodza, lecz i stanowisko przedstawiciela Polski. To też wdzięczna, a zawstydzona Warszawa tem obelżywem i szyderczem pożegnaniem,

jakie w niezrozumieniu rzeczy zgotowała wyciągajacemu z jej murów księciu, wystąpiła z entuzjastycznym, tryumfalnym przyjęciem dla powracających zwycięskich, a tak blizkich sercu, pułków. Ale księżę uchylił się od roli tryumfatora, gdyż nie wyruszył wraz z wojskiem, a pozostał przez dłuższy czas w Krakowie.

Wiadomość o rozejmie w Znaim wywołała połączone z niepokojem zaciekawienie, jak też Napoleon postąpi z Galicją, wydarł wrogowi bez najmniejszej pomocy Francji, własnymi rękami Polaków z księstwa, przy współudziale ich braci galicyjskich. Wynagrodzić też należało ogromną usługę, jaką oddały osobiście Napoleonowi zwycięskie pułki ks. Józefa przy pomocy galicjan: trudno bowiem przypuścić, aby mógł polski wódz nawet myśleć o podbojach, gdyby mu nie pomagali ze wszystkich sił ziomkowie z zaboru austriackiego, dając ochoczo żywność, ochotników i środki materialne. Biorąc wszystko razem, gdyby Polacy nie wstrzymali i nie pobili 40000 wrogów, to ci, zjawiwszy się na teatrze wojny po niepomysłnej dla Francuzów bitwie pod Aspern wzmocniliby ogromnie armję arcyksięcia

Karola może nawet w sam dzień Wagramu, co pociągnęłoby za sobą nieobliczalne i bardzo daleko idące następstwa. *)

Niepokój ten wyłonił się z zaznaczonej już, powstałej po pokoju tyłzyckim nieufności ku Napoleonowi. Zwłaszcza nie dowierzali mu galicjanie i choć dla każdego było rzeczą jasną i racjonalną, że przyłączenie Galicji do księstwa będzie tylko aktem sprawiedliwości, nie zaś łaski, wysłała Galicja do Napoleona deputację, złożoną z Matuszewicza, Miączyńskiego i Ignacego Potockiego w celu uzyskania pewności co do swych losów. Krok ten wywołała jeszcze i ta okoliczność, że ani Fryderyk August, ani ministrowie księstwa nie przedsięwzięli nic, aby zapoczątkować tę sprawę, a ks. Józef, stosując się do rozporządzeń cesarskich zajmował kraj, odbierał przysięgę, zaprowadzał rząd tymczasowy w imie-

*) Takie zdanie wygłosił Tbiers, a tego francuskiego historyka nie można chyba posądzać o stronność przeciw jego własnej ojczyźnie na naszą korzyść, zwłaszcza jeśli zważymy, że między innemi przypisuje on szarżę pod Somosierra, nie nam, a swoim rodakom.

niu Napoleona, a na miejsce orłów austriackich nakazywał zawieszać francuskie.

Pomieniona deputacja, przyjęta przez Napoleona w Wiedniu 3 sierpnia, nie otrzymała jednak żadnej stanowczej odpowiedzi, a pewność co do losów Galicji dał dopiero pokój wiedeński, zawarty 14 października 1809 r.

Tymczasowy rząd Galicji składał się z 6 członków pod przewodnictwem ordynata Zamoyskiego, prócz tego według francuskiego szablonu mianował ks. Józef Rembielińskiego generalnym intendentem armji, a sformowane z ochotników galicyjskich pułki zaliczone zostały do służby francuskiej. Wszelkie urzędy działały w imieniu Napoleona. Reasumując wszystko, przed ogłoszeniem warunków pokoju wiedeńskiego Galicja tem tylko różniła się od każdego francuskiego departamentu, że była znacznie większa, a językiem urzędowym i narodowym był polski.

Odetchnęła Galicja dopiero wtedy, gdy stały się wiadomemi artykuły pokoju, lecz nie cała. Wbrew najprostszemu wymiarowi sprawiedliwości część jej tylko włączono do księstwa, mianowicie: prawie całą Za-

chodnią i małą częstkę Wschodniej, — ogółem 919 mil kwadratowych z 1500000 mieszkańców, przytem żupy solne Wieliczki stały się wspólną własnością Fryderyka Augusta i Franciszka II. Reszta Galicji powróciła pod panowanie Austrii, za wyjątkiem cyrkułów, tarnopolskiego i zbaraskiego (z 400000 ludności), które oddał Napoleon Rosji tak, jak w Tylży obwód białostocki.

Zastrzegł również w traktacie pokojowym, że obywatele powróczonej Austrii części Galicji, którzy jakikolwiek udział przyjmowali w ostatniej wojnie, nie mogą być za to karani, a ci, którzy, stawszy się obywatelami księstwa, posiadali w austriackiej Galicji nieruchome własności, mogą stosownie do chęci posiadać je nadal i pobierać dochody na ogólnych zasadach.

Powtórzyła się zatem historja tylżycka z pewnem nawet pogorszeniem, ponieważ w 1806/7 r. myśmy bądź co bądź dali tylko pomoc francuzom, a w 1809 r. samiśmy pobili niemców i w znacznej mierze dopomogli do zwycięstwa Napoleona, a wszystko to uczyniliśmy, ogołoceni z siły zbrojnej, której najlepsza część skutecznie działała w Hisz-

panji dla Francji, a druga strzegła lojalności poddanych królowej Luizy, zajmując garnizony w twierdzach pruskich. Samo tylko zachowanie się Galicji było zupełnie wystarczającym, aby z nią inaczej postępiono.

Godzi się tu zaznaczyć, że zwycięski ks. Józef; pogromca Niemców i zdobywca Galicji, otrzymał złotą szablę, gdy sporą część dóbr narodowych zastrzegł sobie Napoleon dla rozdania między Francuzów. Nie dla rang, krzyżów i donacji walczył ks. Józef i całe jego wojsko, ale nagroda ta wydaje się wprost śmieszną, jeśli zważyć, że Napoleon zwykł był francuskim generałom dawać buławy marszałkowskie i hojne dotacje za jedną wygraną bitwę.

Pokój wiedeński znów nam nie pożałował zimnej wody:—zrazili się zwłaszcza Polacy z zaboru rosyjskiego, a okoliczność ta zemściła się na Napoleonie w 1812 r.

Jedną tylko część naszych dziadów z pewnością, ma się rozumieć, wyjątkami nie ochłodziła ku Napoleonowi, — przeciwnie, po nowych zwycięstwach bardziej go jeszcze uwielbiała. Tą częścią narodu było wojsko, gotowe na jedno skinienie genjusza walczyć

na krańcach świata. Nie ma nic jednak w tem bardzo dziwnego: dzieje dowiodły, że wojskowość zawsze wyrabia specjalnego ducha,—miłość ku zwycięskiemu wodzowi, doprowadzoną do fanatyzmu. W normalnych warunkach, gdy ów wódz na czele rodzimych szeregów walczy za ojczyznę, jest to zjawiskiem nie tylko naturalnem, lecz bardzo pożądanem. My, niestety, byliśmy w warunkach anormalnych. Ów wódz wielbiony w gruncie rzeczy walczył za swe osobiste ambicje, a piorunowemi zwycięstwami upajał i odurzał szeregi, które wpatrzone w jego orły, gotowe były za jedno słowo lub uśmiech dać się porąbać w sztuki. Dowód oczywisty mamy w historii lwów-szwolęzów. Pod Somo-Sierra widzieli oni jeszcze po za złotym orłem cesarskim swego ukochanego — białego; lecz im dalej tem bardziej białość się złociła, a w końcu w samo złoto przemieniła. Za tym orłem poszli oni na wygnanie, a gdy runął w głębie Atlantyku, jeszcze go w sennych marzeniach widzieli, a swym dzieciom, wnukom i prawnukom cuda o wodzu-cesarzu opowiadali.

Nie należy jednak z powyższego wnioskować, że nasi wojacy napoleońskiej epoki,

przywdziawszy mundur, przestawali być polakami;—bynajmniej, kochali swój kraj sercem całym, tylko łączyli tę miłość z powyższą, a że szwoleżerowie doprowadzili ją do ekstazy, to łatwo się tłomaczy: ta młodzież była ciągle u boku Napoleona, a taka nieustanna styczność z genjuszem może wyrodzić tylko bezgraniczną miłość lub w sercach zazdrosnych i zarozumiałych, — nienawiść; środka tu niema.

Dzięki owym zwycięstwom przy pomocy rodaków, otrzymało księstwo w 1809 r. wraz ze chrztem bojowym i sławą, powiększenie obszaru do 2769 mil kwadratowych, na którym mieszkało 4000000 ludności.

XVII. Korzyści z przyłączenia Galicji. Zły stan ekonomiczny kraju.

Nowo przyłączona prowincja urzędowo wcieloną została do księstwa dekretem d. 7-go grudnia 1809 r. Utworzono nowe departamenty: 1) krakowski, 2) lubelski, 3) radomski i 4) siedlecki — ogółem 40 powiatów. Do senatu dodano 12 członków: po 4 wojewodów, kasztelanów i biskupów, a do sejm — 66 przedstawicieli: 40 posłów od

szlachty i 26 deputowanych od innych stanów. Nakoniec, wprowadzono kodeks Napoleona i prawo handlowe francuskie, tylko sprawy karne miały być nadal sądzone według praw austriackich w dwóch na ten cel ustanowionych sądach.

Na pierwszy rzut oka zdawać by się mogło, że przyłączenie zamożnej wówczas Galicji wpłynie dodatnio na finanse kraju, boć przecież Austria ciągnęła z niej rocznie 10000000 złotych reńskich dochodu, a jeszcze pomimo to stała Galicja o całe niebo lepiej, niż zabór pruski. Gdy jednak zajrzemy głębiej, okaże się, że z chwilą przyłączenia nie mogła już Galicja dopomóc księstwu.

Już sama ofiarność podczas wojny pochłonęła ogromne fundusze, a potem strata szła za stratą. Upadła wartość papierowych pieniędzy austriackich, potem wycofano je zupełnie z obiegu, część dóbr narodowych wartości 26000000 poszła w ręce francuzów, wreszcie z chwilą przyłączenia do księstwa, rynek zbytu ziemiopłodów został tak samo zamknięty dla Galicji, jak w 1807 r. dla nowego państwa.

Wszystko to razem spowodowało, że nowi

obywatele odrazu zalegli w opłacie podatków z braku źródeł dochodu. A choć przybyły połowiczne dochody z Wieliczki w sumie 3000000 złr., a w następnym roku uspławniono Wisłę, podniesiono zakłady górnicze i chów bydła, — roszące wciąż na skutek wymagań Napoleona wydatki na wojsko i fortyfikacje, trzymały kraj nad przepaścią finansowej ruiny.

W połowie 1810 r. ustanowiono w księstwie sąd kasacyjny, dyrekcję dóbr narodowych, administrację żywności dla armji i t.d. Były to jednak ulepszenia jedynie formalne.

Prócz niezaprzeczenie wielkiej korzyści moralno duchowej, realne osiągnęliśmy tylko w szkolnictwie i w pozyskaniu kilku wybitnie zdolnych jednostek dla zajęcia wyższych urzędów. Oświata zyskała ogromnie na objęciu w posiadanie Akademji Jagiellońskiej, przez co zyskaliśmy centrum naukowe wraz z ogromnym materiałem. Prócz tego unarodowiono kilkanaście szkół średnich i 470 elementarnych, tak że ogólna liczba szkół doszła do poważnej cyfry 1629 z 55000 uczących się. Wreszcie, do-

chody izby edukacyjnej doszły do 2000000 złotych.

Tak się przedstawiał ogólny stan księstwa po „wynagrodzeniu” go za pobicie Niemców przyłączeniem części ojczyściej ziemi. Lepiej byłoby i dla nas i dla samego Napoleona, aby był nie „wynagradzał”, a oddał tylko nam należne. A zasługi nasze względem niego w ostatniej wojnie były tem większe, że gdy wojska polskie zajęły Kraków, udał się Eustachy Sanguszko z polecenia naczelnego wodza Rosjan do księcia Józefa z przedłożeniem w imieniu cesarza Aleksandra, aby opuścić sprawę Napoleona, wzamian za co cała Galicja zostanie połączona z księstwem, — zagwarantowana konstytucja, nagrody dla wojska, a największa dla samego księcia. Lecz ks. Józef w imieniu swoim i całego narodu polskiego odrzucił tę propozycję, choć nie wiedział o zwycięstwie pod Wagram, tylko o porażce pod Aspern! A kto wie, co by się stało, gdyby był przeciwnie postąpił. My możebyśmy zawiedli się, ale dla Napoleona bardzo łatwo zamieniłby się rok 1812 na 1809 lub 1810.

Za to, gdy Rosja zażądała gwarancji, że

księstwo już więcej powiększonym nie zostanie, a imię Polski raz na zawsze wykreślone,—dyplomacja francuska zgodziła się, tylko umowa nie została przez Napoleona podpisana, a przez ministra Caulincourta. Był to bezpłatny dodatek do „nagrody” w postaci części Galicji.

Radość po zwycięstwach zamącona została śmiercią Stanisława Małachowskiego, zgasłego w d. 29 grudnia 1809 r. Cały naród zapłakał nad otwartą mogiłą tego, który go tak ukochał. Zakończył ówczesną wędrówkę żarliwy obrońca uciśnionych, wdów i sierot, patryjota nad patryjotami, mąż niezmordowanej pracy i olbrzymich zasług, posiadający wszechświatowy szacunek. Uczcił go też naród wspaniałym pogrzebem, w którym udział wzięły wszystkie stany. Każdy polak winien jego imię wyrzeźbić w swem sercu niezatartymi zgłoskami, jako wzór dla siebie i przyszłych pokoleń.

Po tej narodowej żałobie, w maju 1810 roku rozbrzmiał kraj znowu radością z powodu przybycia swego monarchy, który 7 t. m. zjechał do Krakowa, a stamtąd do Warszawy, gdzie przepędził kilka tygodni. Z tego czasu pochodzą dekrety: 1) o odro-

czeniu o 11 miesięcy terminu opłaty zaległych podatków i 2) o otwarciu krajowej mennicy.

Zastąpiona przez twardą, niewesołą rzeczywistość, musiała się skończyć ogólna radość. Ruina znów stanęła w oczach społeczeństwa.

Olbrzymią wyrwę w budżecie księstwa stanowiły wydatki ministerjum wojny, któremu nakazał Napoleon zwiększyć siłę zbrojną do 60000 oraz obwarować Pragę i Modlin. Przyczyny tego niezwykłego zjawiska po wojnie, do tego zwycięskiej, należy szukać w ciągle i stale psujących się stosunkach Francji z Rosją.

Aleksander I rozdrażniony coraz bardziej wyzywającą polityką swego tyłżyckiego przyjaciela, widząc że jego zaborczość i chęć wszechświatowego panowania przechodzą wszelkie granice, otwarcie wyjawiał swe niezadowolenie w rozmowie z Caulincourtem: „świat może się okazać za małym dla nas dwóch” — powiedział władca Rosji. Słowa, wyrażające tak dobitnie niezadowolenie poparł Aleksander I czynami.

Na wyroby francuskie nakazał nałożyć wysokie cła i dał przyzwolenie na dowóz

towarów kolonialnych pod wszelką neutralną flagą, co równało się otworzeniu portów anglikom, a więc zniesieniu w Rosji systemu kontynentalnego, — tej źrenicy oka Napoleona. Prócz tego zaczął Aleksander I ujmować sobie polaków i wyraźnie skłaniać się do planu Czartoryskiego, którego delegował do Warszawy dla zbadania stanu umysłów w księstwie.

Dalej, znany nam dobrze Michał Ogiński, ujęty szlachetnością cesarza Rosji, a przysłuchawszy się poprzednio opinii sfer miarodajnych w Paryżu, z której powziął przekonanie, że i teraz Napoleon nic nie myśli dla nas uczynić, — stanął na gruncie przyjaznym Rosji i złożył jej władcy memoriał z projektem połączenia w jednym ręku władzy nad całym zaborem rosyjskim, z wprowadzeniem doń statutu litewskiego i utworzeniem wojska narodowego.

Wszystko to w połączeniu wskazywało, że tak serdeczne w 1807 r. stosunki dwóch cesarzy mogą się lada chwila stać wprost wrogimi. Przy takim stanie rzeczy obie strony musiały mieć się na baczności i przygotowywać do wybuchu, który mógł być nagły, i w razie którego i Francji i Rosji mu-

siało wiele zależeć na tem, za kim się opowiedzą polacy.

Co w tym względzie czynił Aleksander I, wiemy już. Co do Napoleona, i on nie ograniczył się samem zbrojeniem i obwarowywaniem: odwołał rezydenta Serra, a na jego miejsce przysłał przychylnego nam Bignon'a z instrukcją, aby ten jawnie dawał poznać polakom, że cesarz szczerze zamierza odbudować Polskę, czego jednak tak odrazu nie mógł uczynić, ale uczyni, gdy sam naród do tego rękę przyłoży. Nadto, osobiście wyraźnie zaznaczył, że nie rości do tronu polskiego pretensji ani dla siebie, ani dla swej rodziny, oraz, że jedynie dla tego nie używa drażniącego imienia Polski w urzędowych stosunkach, aby przez czas niejaki utrzymać pokój z Rosją. Takie i tym podobne fakty znowu tchnęły ufność ku Napoleonowi w polskie umysły, a zwłaszcza serca. Na Litwie jednak górowały sympatje ku cesarzowi Aleksandrowi.

Zapewne, gdyby Napoleon rozgromił Rosję, odbudowałby Polskę, zniewolony do tego politycznym musem, który w takim wypadku nakazywał zarówno radykalne osłabienie wschodniej potęgi, jak i utworzenie

silnego, a przyjaznego Francji państwa, dla utrzymania w szachu prócz rosjan, jeszcze i niemców. Z samej natury rzeczy państwem takim mogła być tylko Polska.

Wracając do spraw wewnętrznych księstwa, zaznaczyć musimy, iż zły jego stan finansowy pogarszał się z przerażającą szybkością: nprzkl. — z proponowanych na 1810 rok — 67000000 złotych dochodu, wpłynęło ledwo 42000000. Żadne środki nie pomagały na zmniejszenie zła: zagranica, utraciwszy wiarę w wypłacalność księstwa, dać pieniędzy nie chciała, a kraj nie mógł, bo nie miał. Doszło do takiej ostateczności, jak publiczne ogłoszenie w pismach, że skarb może zadośćuczynić zobowiązaniom li tylko przez oddanie w zastaw wierzycielom części dóbr narodowych.

Wtedy kazał Napoleon (nb. na koszty przygotowań wojennych) zaciągnąć pożyczkę w sumie 12000000 franków za pośrednictwem francuskich bankierów, a zagwarantowaną dochodami z Wieliczki. Pożyczka ta o wysokim procencie przyniosła zysk i korzyści jedynie zagranicznym kapitalistom. Na domiar złego straszna posucha w 1811 r. wywołała ogólny nieurodzaj, co

z kolei dało możność różnym spekulantom nabywać za pół darmo majątki z rąk zrujnowanych obywateli i wyzuwać ich z ziemi.

Położenie stało się rozpaczliwem. Nawet mąż tak wielkich zdolności, jak Matuszewicz, zamianowany ministrem skarbu po śmierci Dembowskiego, nie mógł nic porządzić.

Prócz tej zmiany w najwyższych urzędowych sferach, zaszły jeszcze dwie: ministerjum policji objął zacny patryjota, a zdolny urzędnik, Ignacy Sobolewski, a prezesem senatu po zmarłym Małachowskim—został Tomasz Ostrowski.

Nadszedł czas zwołania w powiększonym przez galicjan komplecie drugiego sejmu, który się zapowiadał odmiennie od pierwszego. Spodziewano się silnej opozycji, gdyż uchwała nowych ciężarów była konieczną, a środki kraju wyczerpały się do cna; nadto 66 nowych przedstawicieli Galicji nie we wszystkim mogło iść zgodnie z dawnymi, mając inne potrzeby i wymagania.

XVIII. Uchwalenie nowych podatków.

21 września 1811 r. nakazał, przybyły do Warszawy Fryderyk August zwołanie sejmików i zebrań gminnych w całej Galicji, oraz w tych miejscowościach pozostałej części księstwa, gdzie stosownie do konstytucji wyszli z grona przedstawiciele narodu losem wyznaczeni posłowie i deputowani.

Sejm zebrał się 9 grudnia pod łaską marszałkowską Stanisława Sołtyka.

Posiedzenie zagaił książę; następnie minister spraw wewnętrznych w długiej mowie odmalował położenie kraju takim, jakie było w rzeczywistości.

Pierwsze uchwały sejmu, tyczące się różnych poprawek i dopełnień prawodawczych, nie były zbyt ważne. Dopiero 17 grudnia wygłosił Matuszewicz świetną mowę, przedstawiając potrzeby i zachęcając do zadośćuczynienia im ze względu na przyszłość kraju. Mowa ta wywarła dobre wrażenie, sama przez się jednak nie byłaby w stanie doprowadzić do celu, gdyby nie miłość ojczyzny, przepelniająca serca posłów i ich

wyborców, oraz nadzieje, wzbudzone obietnicami Napoleona.

Na zasadzie dwuletniego doświadczenia Matuszewicz jasno wyłożył niewłaściwość niektórych podatków, uchwalonych na pierwszym sejmie, wskutek ich niesłuszności i obciążenia przeważnie wiejskich mieszkańców. Trzeba więc było takowe znieść lub zmniejszyć, a na ich miejsce obmyśleć inne źródła dochodu.

Wogóle stał minister przed dylematem: powiększyć dochody, a równocześnie zmniejszyć ciężary ludności; nielada zadanie, od razu wprowadzić w czyn dwie rzeczy wzajemnie się wykasowujące! To też cały projekt Matuszewicza polegał na zmianach przedmiotowych i formalnych, które, dając ulgę bardziej dotychczas obciążonym, musiały powetować wynikłą stąd stratę większem obciążeniem drugiej części ludności.

Matuszewicz proponował znieść podymne i podwyższoną „ofiary”, a na ich miejsce wprowadzić podatek stemplowy, czopowy, patentowy, osobisty od klasy zamożnej i monopol tytoniowy.

Ostatnie dwa projekty przeszły bez opozycji; wiejskie czopowe—dzięki tylko ma-

lej większości głosów, spowodowanej przyłączeniem się do projektu członków Rady Stanu; podatek zaś stemplowy ledwo został uchwalony po znizeniu jego stopy i to przy powtórnyem dopiero głosowaniu.

Wtedy to wystąpił Godlewski, poseł mairjampolski, wytykając w 4 godzinnej mowie błędy i braki administracji krajowej. Nad podatkiem patentowym i poborem prowiantu dla wojska głosowano również dwukrotnie: — przeszły wprawdzie obydwaj, ale pierwszy w znacznie zmniejszonej sumie, a drugi po usunięciu uciążliwych warunków dostawy.

I na powtórnych jednak sesjach opozycja była bardzo silną, co sprawiło, że sprawę żywienia wojsk oddał ksiądz w ręce prefektów, rozwiązawszy dyrekcję żywności z powodu nadużyć dostawców, którzy wzbogacali się krwawym groszem narodu.

Choć z trudem i ustępstwami przeszedł jednak projekt Matuszewicza, ale sejm stosownie do przewidzeń okazał się już innym niż pierwszy — i nie przez samą tylko opozycję, ale przez zorganizowanie nielegalnych posiedzeń pozasejmowych, gdzie miało poddawać dyskusji kwestje, w których

na sesjach izby zgodnie z postanowieniem konstytucji nie mieli prawa zabierać głosu przedstawiciele nie należący do odpowiednich parlamentarnych komisji. Posiedzenia te były dziełem skrajnie lewych posłów: Ciechanowskiego, Godlewskiego, Owidzkiego i Franciszka Wężyka.

Na jednym z takich posiedzeń, 16 grudnia, uchwalono adres do księcia o zaprowadzenie oszczędności w wydatkach skarbowych, oraz zamierzono wysłać do Napoleona deputację w celu zanieśienia skargi narodu;—tego ostatniego jednak zaniechano, poprzestając na pierwszym.

Kto wie jakie byłyby rezultaty tego wystąpienia, gdyby nie takt i dobroć monarchy, który odpowiedział delegatom prawdziwie po ojcowsku, że, jako naczelnik państwa, nie może uznać pozasejmowych uchwał, lecz jako ojciec narodu, puszcza to w niepamięć i na imię ojczyzny zaklina, aby nie zaczynano rozsiewać niezgody, tak ciężko przez Polskę opłaconej. Takie odezwanie się księcia ujęło za serca opozycjonistów i zakończyło zatarg.

Na tym drugim sejmie dali znów polacy dowód, że ich miłość ojczyzny nie na sło-

wach, a na czynach polega. Bardzo kochać musi ten, kto, znajdując się w oplakanych warunkach, składa takie ofiary, jak nasz naród cały w osobie swych wybrańców.

XIX. W przededniu 1812 r. Mactwa Napoleona.

Nastał niczem niezatarty w pamięci Europy 1812 r. Dla nas specjalnie niósł on oparte na pewnych podstawach nadzieje, że będzie tym upragnionym, wymarzonym rokiem zbawienia. Nie z naszej winy rozwiął tym razem wszystko zimny wiatr północy.

Mówiliśmy już o przyczynach szybkiego psucia się stosunków Aleksandra I z Napoleonem. Uwieńczył je wybuch, który wielkie korzyści dał wszystkim, prócz wojujących, największe Anglii, choć ta brała w tem udział najmniej czynny. 1812 r. to początek końca napoleońskiej potęgi, która prędko bardzo dosięgłszy szczytu, z zawrotną szybkością stoczyła się w przepaść nicości.

Już na początku 1811 r. zawiadomiono naszego wodza naczelnego, ks. Józefa o zamiarze Aleksandra I wkroczenia do księstwa, skaptowania sobie jego mieszkańców

i po połączeniu się z wojskami pruskiemi dotarcia do Odry lub nawet Elby dla dania aż tam pola Napoleonowi. Do wykonania powyższego planu nie znaleziono jednak na razie pozorów, zaczęły się tylko z obu stron energiczne przygotowania, w których księstwo grało dla Francji pierwszorzędną, główną rolę.

Przez dekret nakazano pobór 20000 rekrutów i ukończenie obwarowania Pragi i Modlina, do czego użyto rąk, oderwanych od roli; dalej, zakładano magazyny wojskowe; nakazano wreszcie dostawę koni. W samej Francji kompletowano na gwałt pułki, wysyłając je nad Niemen i Wisłę.

14 lutego 1812 r. zawarł Napoleon zaczepno-odporne przymierze z Prusami, a w miesiąc potem z Austrią. Traktaty te, nie oparte na politycznych wyrachowaniach (o przyjaźni chyba nie ma co mówić), a wyłącznie na sile Napoleona, której niebezpiecznie było się sprzeciwić, dawały tylko na razie rękojmię, że Niemcy nie dadzą pomocy Rosji od samego początku, a potem germańskim obyczajem zostaną po stronie zwycięscy.

Z powodu wojny z Turcją nie mogła Ro-

sja wszystkich sił swoich zwrócić przeciw Francji, mogło się więc zdawać, że wszystkie atuty trzyma w ręku jej cesarz, jedyną bowiem tylko Anglja stała się zbiegiem okoliczności sojuszniczką Rosji, ale ze względu na całkowite użycie swych ograniczonych sił lądowych w Hiszpanji, nie mogła dać czynnej pomocy, hiszpanie zaś, wyparci ze wszystkich punktów warownych i strategicznych, nie odciągali znaczniejszej ilości wojsk francuskich.

Pomimo pozorowania przygotowań i tajemnicy, w jakiej trzymano pomienione traktaty, było już w początkach 1812 r. rzeczą jasną, że wojna franko-rosyjska wybuchnie lada moment. Sam może tylko Napoleon, choć się zabezpieczał, miał jednak do ostatka nadzieję, że się jeszcze wszystko da jakoś ułożyć i, wbrew swym dotychczasowym zwyczajom, widocznie starał się o dawną przyjaźń z władcą rosyjskim.

Już w maju wystosował Maret notę do rządu rosyjskiego z przypomnieniem, że w Tylży sam cesarz Aleksander uznał konieczność powstrzymania gwałtów angielskich na morzu; obecnie zaś nakazał otworzyć porty dla tychże anglików i jawnie

wyzwał Francję przez zajęcie Oldenburga. Po tej nocy wysłał Napoleon z pojednawczą misją Lauristona, a nieco później Narbonne'a do Wilna, gdzie dla zjednania sobie Litwy, bawił w czerwcu cesarz Aleksander. Na powrót drugiego wysłańca oczekiwał Napoleon w Dreźnie i dopiero, gdy i ta misja spełzła na niczem, wyruszył do Królewca dla wydania ostatecznych rozporządzeń do rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich.

Stanowczość Aleksandra I miała swe podstawy w zmianie kursu szwedzkiej polityki, nadziei szybkiego zawarcia pokoju z Turcją, oraz trudności dalekiej dla francuzów wyprawy do kraju nieznanego o surowym klimacie i bez dobrych dróg komunikacji.

23-go czerwca w Wilkowyszkach wydał Napoleon sławną proklamację do wojsk, która była zarazem wypowiedzeniem wojny.

Dodać należy, że gdy w instrukcji do Bignona znajdujemy wyrazy: „będzie dla Polski niepodległość i wolność”, w nocy Mareta wyraźnie powiedziano, że cesarz francuzów może się zobowiązać do nieopierania w niczem przedsięwzięć dążących do odbudowania Polski. Z tego dowodnie widzimy prawdziwość twierdzenia, że nawet

w wigilję wojny z Rosją, nie myślał Napoleon o wskrzeszeniu Polski, a jego obietnice wywołane były koniecznością mieć nas za sobą. Na naszym bowiem wypróbowanem męstwie i wierności mógł jedynie tylko polegać mocarz, taki bowiem genialny umysł musiał to rozumieć, że na traktaty z Niemcami liczyć można, tylko w razie stałego powodzenia. Pomimo to, gotów był Napoleon nas poświęcić, byle utrzymać potrzebny mu jeszcze wtedy pokój z Rosją, tylko bowiem tą koniecznością wytłomaczyć da się tu jego niechęć do dania sygnału bojowego, który tak lubił, będąc prawdziwie sobą, tylko wśród huku dział i wrzawy bojowej.

Przed samym wyjazdem z Paryża odwołał Napoleon z Warszawy Bignona, przysyłając na jego miejsce ks. de Pradt, arcybiskupa mechlińskiego, jako swego nadzwyczajnego ambasadora. Przed jego przybyciem do stolicy wydał Fryderyk August dekret, powierzający całą władzę radzie ministrów, na mocy czego zwołali oni wobec nadzwyczajności wypadków sejm na d. 26-y czerwca. Poprzednio jeszcze wezwał Napoleon Matuszewicza do Drezna dla nara-

dzenia się, jakie ma być dalsze postępowanie polaków w celu wskrzeszenia Polski z pomocą Francji.

Postanowiono wzorem tradycji zawiązać Generalną Konfederację, która wezwie wszystkich polaków do powstania *) i wystąpi do Napoleona z prośbą o pomoc; — nadto na sejmie miano ogłosić, że naród sam postanowił przywrócić swą niepodległość. Wtrącać się jednak do rządów krajowych Konfederacja nie miała prawa. Z chwilą tedy, gdy Napoleon nie widział już najmniejszej możliwości uniknięcia wojny, zaczął serjo myśleć o odbudowaniu Polski, ale zamiast uroczyście je proklamować i to natychmiast, używał jeszcze wykrętnej polityki tym razem już nie tylko na nasze, lecz i swoje nieszczęście.

Może mylą się ci, którzy twierdzą, że w razie urzędowego wskrzeszenia Polski, byłaby się wojna inaczej zakończyła, bo

*) Wyjątek miał być tylko uczyniony na razie względem austriackiej Galicji, gdyż na zasadzie ostatniego traktatu nie mógł Napoleon dać przyzwolenia za wybuch powstania przeciw Austrii.

o tak wielkich dziejowych wypadkach trudno dawać matematycznie pewne określenia. Nam się jednak zdaje, że zdanie to oparte na racjonalnych wywodach i realnych podstawach, nie zawierających w sobie fantazji, jest uzasadnione. Gdyby Napoleon ogłosił niepodległość Polski i królem jej męża upatrzonogo na małżonka królowny saskiej, cała Litwa stanęłaby po stronie francuskiej, tworząc wspólnie z księstwem potężną podstawę dla działań wojennych, punkt oparcia w razie niepowodzenia, a w ostateczności uczyniłoby to Rosję skłonniejszą do zgody, — tę Rosję, która znając usposobienie Litwy, nie chciała nawet traktować, gdy szala przeważała na jej stronę. Co do Austrii, sam Napoleon wyraził się do Matuszewicza, iż „za niejaki nagrody ustąpi Galicję”.

Wśród tego zamętu, nadziei i brzęku broni otworzono d. 26 czerwca pierwszą sesję sejmową. Marszałkiem został ks. Adam Czartoryski (ojciec), uprzednio jeszcze na skutek polecenia Napoleona sprowadzony do stolicy i obrany posłem powiatu warszawskiego.

Sejm zagaił tym razem prezes rady ministrów, a zaraz potem polecił marszałek

odczytanie prośby obywateli litewskich, wzywającej rodaków do czynu. Wszystko to trochę zakrawało na komedję, której reżyserem był ambasador francuski, a więc właściwie—Napoleon,—my zaś odegraliśmy role przezeń wyznaczone. Owa zwłaszcza petycja litewska, opatrzona nielicznymi podpisami i to zamieszkałych w księstwie poddanych rosyjskich, która w samą porę jakby z nieba spadła,—była sztuką bardzo naciągniętą. Lecz potępiać ówczesnych patrijotów za przyjęcie roli marjonetek nie wolno,—uczynili to bowiem nie dla osobistych widoków, a dla ojczyzny.

28 czerwca zebrały się razem obydwie izby wobec licznie zgromadzonej publiczności. Na mównicę wstąpił Matuszewicz i wygłosił jedną z najświetniejszych mów swego czasu, przedstawiającą całą konieczność odbudowania Polski dla ogólnoeuropejskich interesów, a zakończył pełnemi siłami i otuchy słowami: „jeśli przeto w dawniejszych epokach wszystko sprzysięgło się na naszą zgubę, w dzisiejszych — wszystko sprzyja dźwignieniu naszemu. Powstanie więc Polska! co mówię! Jest już Polska!” Powstałe potem ogólne uniesienie przeszło w szal,

gdy oblicze obecnego przytem de Pradta zdawało się potwierdzać te wyrazy w imieniu mocarza nad mocarze.

Gdy się uspokojono, podał Matuszewicz projekt zawiązania Generalnej Konfederacji Królestwa Polskiego, co też natychmiast akceptowano. Sejm przeto rozwiązano. Przewodniczącym Rady Konfederackiej został Czartoryski, sekretarzem Kajetan Koźmian, a członkami najwybitniejsi członkowie sfer rządzących i całego społeczeństwa.

Pierwszą czynnością Rady było wysłanie dwóch deputacji: do Drezna z prośbą, aby książę przystąpił do Konfederacji, i do Wilna, gdzie już bawił Napoleon. Pierwsza deputacja, przyjęta nadzwyczaj serdecznie przez Fryderyka Augusta, powróciła z jego akcesem i przyrzeczeniem pomocy wojsk saskich, druga zaś w odpowiedzi na adres, podyktowany przez samego Napoleona (!) Wybickiemu, usłyszała od cesarza (wszystko więc razem było właściwie monologiem Napoleona) pochwały dla naszego zachowania się oraz zapewnienie szacunku i opieki. Cała jednak odpowiedź była ogólnikowa, a w dodatku, przypomniał Napoleon, że

Austrji zagwarantował całość jej posiadłości.

Stała się więc Konfederacja faktem spełnionym, ale zapał, z jakim to czyniono, nie pozwolił na chłodną rozagę, że było to coś ponad siły zrujnowanego kraju, a Napoleon nie dał szczerzej i energicznej pomocy. Rada konfederacka, która z natury rzeczy powinna była ująć dyktatorską władzę w kraju, tak została skrępowaną przez de Pradta, że prócz zwołania sejmików w celu ułatwienia akcesów, nic nadto zdziałać nie była w stanie. Akcesów tych zebrano mnóstwo w księstwie i nieco w przyległych doń powiatach litewskich, — ale nic więcej, — czyli w rezultacie tak jak nic.

Sądząc ze słów Napoleona, należało się spodziewać, że każe dostarczyć broni dla gwardji narodowej, świeżych zaciągów i oddziałów na Wołyniu, Podolu i Ukrainie; lecz gdy nadzieja ta zawiodła, a południowe prowincje na rozkaz Napoleona zajął korpus austriacki pod Szwarzenbergiem, który ani myślał popierać powstanie, opuścił Czartoryski Warszawę na początku września, a Konfederja znikła jak senne widziadło, aby się ukazać znów wtedy, gdy

rosjanie zajęli księstwo, i również nic nie zdziałać pomimo szczerych chęci.

Wszystkie tedy nadzieje zawisły znów od szabel i kul. Z pola bitwy jedynie mogło przyjść zbawienie.

XX. Wielka kampanja 1812 r. Odznaczenie się Polaków. Niepowodzenie.

Wojna 1812 r. otrzymała urzędową nazwę „drugiej wojny polskiej”. Armja napoleońska, mająca wziąć w niej udział, liczyła 470000 żołnierza, a w szeregach jej były oddziały wszystkich państw i narodów zachodu, południa i środka Europy. Naszych było 75000 ludzi ze 104 działami. Cała ta siła składała się z 21 pułków piechoty i 19 kawalerji, w czem 4—piechoty, 2—ułanów legji Nadwiślańskiej i 1—szwoleżerów gwardji, reszta wojsk księstwa, w którym pozostał tylko 13-ty pułk oraz garść artylerzystów i saperów. Prócz tego około 20000 polaków strzegło Gdańska i Szpandawy.

Ale ta silna liczebnie, wyćwiczona, okryta sławą bojową armja, którą sam Napoleon uważał na równi z francuzami za jądro

swych sił, a która mogła oddać nieocenione zasługi, użyta w całości, zwłaszcza do zajęcia całego zaboru rosyjskiego, przez co posiadłby Napoleon granitową podstawę swych działań i pewne schronienie na wszelki wypadek,—została rozproszona między 11 poszczególnych korpusów i dywizji. Za ledwo z 11 pułków piechoty, 5 — kawalerji z odpowiednią ilością artylerji sformowano V korpus armji, oddany pod komendę ks. Józefa: jedyna ta większa całość, i to na początku wojny liczyła 35000 żołnierzy, podzielonych na 3 dywizje piechoty: XV, XVI i XVII, pod komendą Zajączka, Dąbrowskiego i Kniaziewicza, i 1—kawalerji—generała ks. Sułkowskiego. Szefem sztabu był Fiszer.

Korpus V wyruszył z Warszawy 4 czerwca i dołączony do prawego skrzydła armji, pozostającego pod naczelnym dowództwem hulaki i rozpustnika w pokoju, a niedołągi w polu, króla westfalskiego Hieronima Bonapartego,—po przejściu Niemna ruszył od Grodna w stronę Mińska.

Gdy ks. Józef stał nad granicą, zjawił się u niego wysłany przez cesarza Aleksandra pułkownik hr. Toll z propozycją po-

rzucenia Napoleona, wzamian za co będzie ogłoszone Królestwo Polskie, a księżę obdarzony najwyższem w niem dostojenstwem. Propozycję tę odrzucił nasz wódz, zobowiązawszy się tylko do zachowania jej w tajemnicy, czego tak wiernie dotrzymał, iż dopiero w ostatnich czasach wyszła ona na jaw dzięki ks. Wołkońskiemu.

28 czerwca wszedł Napoleon do Wilna wślad za ustępującymi rosjanami. Stolica Litwy, jak nieco później Mińsk, zgotowała uroczyste, ale tylko powierzchowne przyjęcie wojskom napoleońskim, na czele których wszedł pierwszy do miasta 8-y pułk naszych ułanów. Tutaj zatrzymał się cesarz dłuższy czas i całej armji dał rozkaz zwolnienia pochodu, prowiantowanie jej bowiem już wtedy okazało się rzeczą bardzo trudną. Zapasy, nagromadzone w Prusach i księstwie, wskutek fatalnego stanu dróg nie nadchodziły w porę i regularnie, a uboga ludność miejscowa nie była w stanie zaspokoić nawet dziesiątej części potrzeb. Była to już druga w krótkim czasie przestroga losu, aby nie iść nieopatrznie wgląb kraju; pierwszą otrzymał Napoleon nad

Niemnem, gdzie się okazały znaczne luki w nadciągających pułkach.

Podczas pobytu w Wilnie ukonstytuował cesarz tymczasowy rząd Litwy. Komisję Rządzącą utworzyli: Jelski, Kwiatkowski, Aleksander Potocki, Prozor, ks. Sapieha i Jan Śniadecki pod przewodnictwem Stanisława Sołtana. Komisarzem cesarskim został Bignon. Zajęty przez wojska napoleońskie kraj podzielono na intendentury: 1) wileńską, 2) mińską, 3) grodzieńską i 4) białostocką, a te na powiaty. Intendenturami zarządzały komisje z 4 członków, pomiędzy którymi musiał być jeden francuz,—powiatami—podprefekci.

W każdym powiecie zorganizowano po kompanji żandarmów, w których oficerami byli przedstawiciele miejscowej szlachty, a służba ta, czysto policyjna była musową, co nie mogło się bynajmniej podobać. Prócz tego powierzono Konopce uformowanie pułku gwardji ułanów, a wogóle zaczęto organizować wojsko litewskie w liczbie 5 pułków piechoty i 4—kawalerji, stanowiące przez nadanie porządkowych numerów dalszy ciąg armji księstwa. Dowództwo objęli

dwaj ks. Gedroycie. Lecz niektóre tylko pułki zdolano uformować.

Wogóle nie okazali litwini ani części tego zapału, jak zabór pruski w 1806/7 r., zrażeni bowiem już poprzednio, odstrychnęli się teraz bardziej jeszcze przez powierzenie intendentur francuzom i przymusową służbę policyjną, a ostatecznie ostudził ich groźny dla Litwy wypadek, zaszły wnet po przemarszu wielkiej armji.

Korpus rosyjski Tormasowa ruszył z Wołynia na Litwę i korzystając z takiego samego zachowania się austriaków, jakie względem nich było rosjan w 1809 r., rozbił sasków generała Regnier pod Słonimem i zajął nawet część departamentu siedleckiego. Chwilowe to było wprowadzie, lecz wystarczyło do zachwiania wiary we francuzów i ostudzenia do reszty ostrożnych polaków litewskich.

W południowych prowincjach dawnej Polski, gdzie działać mieli Krópiński i Sanguszko, z powodu opisanego już zachowania się Szwarcenberga i austriaków, skończyło się na zamiarach. Akcja tedy powstańcza w zaborze rosyjskim spełzła od samego początku na niczem.

Ks. Józef po wysłaniu z Grodna swego akcesu do Konfederacji, udał się w dalszy pochód i dotarł do Nowogródka, skąd ruszył na Nieśwież, przyczem generał Roźniewski, wysforowawszy się niespodzianie naprzód, został pobity pod Mirem. Brak żywności trapił bardzo wojska, a król Hieronim, rozkładając się wszędzie, gdzie się tylko dało, na długie postoje i wydając najniedorzeczniejsze rozporządzenia, osiedlił się wprost przy głównej kwaterze V korpusu, krępując tem jego dowódcę.

Obydwie te okoliczności doprowadziły ks. Józefa do złożenia raportu cesarzowi. Skutek był ten, że Hieronima zamienił Davoust, ale ks. Józef usłyszał cierpkie wymówki, że myśli o jedzeniu, gdy trzeba ścigać Rosjan. Na to odpowiedział z całą godnością ks. Józef, że uważa sobie za obowiązek przypomnieć nie o sobie lecz o brakach wojska temu, kto ma zwyczaj troszczyć się o wszystkich swoich żołnierzy.

W tydzień potem, jakby na przeprosiny, otrzymał ks. Józef polecenie objęcia dowództwa nad całym prawym skrzydłem. Było to wymownem świadectwem, jak wysoko cenił Napoleon księcia. Zadanie wodza

naszego polegało na niedopuszczeniu korpusu Bagrationa do połączenia się z główną armją rosyjską. Wskutek kilkudniowego opóźnionego rozkazu głównego sztabu, zmieniającego cały plan dotychczasowy, Bagration, acz pobity pod Sołtanówką, połączył się z Barclay'em de Tolly, ks. Józef zaś zajął w końcu lipca Mohylów, gdzie przebył parę tygodni.

Wypoczynek ten słusznie się należał zmordowanym i przerzedzonym szeregom. Tutaj otrzymał ks. Józef zawiadomienie o rozwiązaniu prawego skrzydła, jako samodzielnej jednostki taktycznej i rozkaz odkomenderowania dywizji Dąbrowskiego, najliczniejszej w jego korpusie, do Bobrujska.

Zawistne intrygi przeciw księciu wybuchły z nową siłą. Tym razem były one dziełem Sokolnickiego, znajdującego się w świecie Napoleona; generał ten od czasu wojny 1809 r. czuł się pokrzywdzonym. Intryga była tak zręczną, że chwilowo nawet groziła księciu utrata komendy.

W tak miłych warunkach opuścił ks. Józef Mohylów i w połowie sierpnia połączył się pod Krasnem, niedaleko Smoleńska,

z główną armją, a w parę dni potem pierwszy ruszył do boju pod murami tej twierdzy, gdzie tylokrotnie lała się krew polska i rosyjska.

Naczelny wódz rosjan, Barclay de Tolly działał według doskonałego własnego planu. Ponieważ armja rosyjska w liczbie 300000 ludzi była przy początku wojny rozciągnięta na ogromnej przestrzeni, postanowił on, pozostawiwszy jeden korpus dla zakrycia Petersburga, a drugi dla operacji na południo-zachodzie, cofać się dla skoncetrowania reszty i, unikając bitwy, wciągnąć wroga w głąb kraju. Po połączeniu się Bagrationa i, mając Smoleńsk za punkt oparcia, postanowił wydać bitwę, która zawrzała 17 sierpnia.

Na pierwszy ogień poszedł korpus V, liczący już tylko 15000 ludzi, i po zaciętym boju wdarł się do miasta, torując drogę do zwycięstwa. Rosjanie cofnęli się, spalony Smoleńsk zajęli francuzi, a Napoleon publicznie dziękował ks. Józefowi wraz z całym jego korpusem, który swoją przewagę okupił stratą 1500 walecznych, śmiercią bohaterckiego generała Grabowskiego i raną Zajączka.

W Smoleńsku błagał nasz wódz Napoleona, aby go wysłał wraz z Davoustem na Kijów w celu wyparowania rosjan na lewy brzeg Dniepru. Wykonanie tego planu zabezpieczyłoby w razie niepowodzenia odwrót francuzom, gdyż jeszcze poprzednio, w Witebsku, Napoleon stanowczo odrzucił prośbę generałów francuskich i Sanguszki o zakończenie tegorocznej kampanji nad Dnieprem. I teraz Napoleon nie usłuchał głosu rozsądku, a zwłaszcza po obejrzeniu zdobytych walutyńskich szańców, uznał swe wojska za niezwyciężone i parł naprzód, aby w starodawnej stolicy Rosji podyktować pokój Aleksandrowi I.

Genjusz taki, jakim był Napoleon, nigdy nie popełnił tyle błędów, co w tej wojnie: jako wódz prowadził ją wcale nie genjalnie, jako polityk,—o ile był przed wojną ostrożnym względem Rosji, w trakcie jej stał się ślepym i głuchym na rady ludzi, którzy w tylu wypadkach udowodnili swe talenty i oddanie się cesarzowi, i przestrogi, których los nie skąpił dotychczasowemu wybrańcowi. O dwóch już mówiliśmy. Trzecią otrzymał po Smoleńsku i Walutynie:—rosjanie cofnęli się w najzupełniejszym po-

rządki, straty ich dotychczasowe były mniejsze, niż zwycięzców.

Naród rosyjski, nie rozumiejąc zbawienego planu Barclay'a, uważał to ustawiczne cofanie się za „niemiecką” zdradę. Ulegając głosowi narodu, mianował Aleksander I naczelnym wodzem Kutuzowa, który 7-go września wydał Napoleonowi bitwę w pobliżu Moskwy, pod wsią Borodino, nazywaną również, choć niewłaściwie, bitwą pod Możajskiem.

I tu walkę rozpoczął ks. Józef od zdobycia wsi Passażewo, poczem pomimo liczebnej przewagi rosjan, opanował ich pozycje, gdy tymczasem świetna szarża kawaleryjska, w której się odznaczył pułk naszych kirasjerów, przerwała centrum rosyjskie. Lecz w stanowczej chwili, gdy zginął waleczny Bagration, Napoleon nie poparł w odpowiednim momencie Ney'a, przez co armja rosyjska uniknęła zupełnego zniszczenia i zdążyła się cofnąć. Bitwa ta, w której obie strony utraciły razem 80000 ludzi, a samych generałów 40, oddała Moskwę w ręce Napoleona.

Idący w przedniej straży V korpus 14-go września zatrzymał się pod jej murami,

a nazajutrz wjechał Napoleon do miasta, w którym pozostała tylko garść cudzoziemców po opuszczeniu go przez mieszkańców rosjan. Niebawem zaczęły się straszne pożary, które zniszczyły $\frac{3}{4}$ Moskwy, a francuzi łupili i rabowali, co się tylko dało.

I tu pod powyższym względem odróżnił się nasz korpus, który po parodniowym wypoczynku w stolicy Rosji, wyruszył dalej przeciw nieprzyjacielowi. 29 września zaszła pod Czarykowem 6-godzinna bitwa, rozstrzygnięta dzielną szarżą konnych strzelców, osobiście przez ks. Józefa prowadzoną. Świetnie się również odznaczył tu Tyszkiewicz ze swą kawaleryjską brygadą. W kilka dni potem umiejętny współdziałł ks. Józefa w bitwie pod Woronowem uratował armję Murata, znienacka napadniętą przez przeważne siły Kutuzowa. Tu zginął zasłużony, dzielny generał Fiszer, jeden z naszych najtalentowańszych i najpracowitszych oficerów-sztabowców.

W kampanji tej wykształcił się ks. Józef, obdarzony przez naturę wysokimi talentami wojennymi, na wielkiego, zawodowego wodza, a popularność jego rosła z każdą chwilą, zarówno jak uwielbienie szeregów.

Od 1809 r. staje ks. Józef w aureoli bohatera, stróża honoru narodowego,—która do dziś dnia i na wieki opromienia tę piękną, postać rycerską.

Napoleon przebył w Moskwie do 19 października, tracąc miesiąc drogiego czasu na wyczekiwanie z początku parlamentarzystów rosyjskich, a potem odpowiedzi Aleksandra I, do którego dwukrotnie wysłał generała Lauriston z pokojowymi propozycjami. W głównej kwaterze rosyjskiej pod różnymi pozorami zatrzymywano wysłańca, może nawet nie dając o tem znać monarsze. Czas ten wyzyskali Rosjanie dla otoczenia wycieńczonego nieprzyjaciela, zawarto bowiem w tym czasie pokój z Turcją, a działająca dotąd przeciw niej armja mogła teraz odciąć odwrót Napoleonowi. Tem samem groził osłaniający Petersburg korpus Wittgensteina, który po bitwach pod Połockiem i Dźwińskiem zmusił marszałków: Victor'a, Saint-Cyr'a i Oudinot'a do cofania się ku Wilnu.

Wszystko to skłoniło wreszcie Napoleona do wycofania się z Moskwy. Na razie, mając jeszcze około 100000 wojska, chciał cofać się na obficie zaopatrzoną Kaługę, lecz

po krwawej bitwie pod Mało-Jarosławcem, ujrzał się zmuszonym przejść na drogę smoleńską, którą przybył do Moskwy.

Samo cofanie się przez miejscowości z natury ubogie, a wyniszczone do szczytu poprzednim pochodem,—było już klęską, a do tego nastąpiły bardzo wczesnie potężne mrozy, które zniszczyły armję, nie posiadającą ciepłej odzieży, z przerażającą szybkością. Dość, gdy powiemy, że do Smoleńska dotarło już ledwo 42000 ludzi i to w opłakanym stanie; dział utracono 300. Tylko korpus V, liczący już ledwo 4000 zbrojnych, idący teraz ciągle w tylnej—jak poprzednio w przedniej straży,—zachował wszystkie swe działa. Wódz jego, który się rozchorował wskutek upadku wraz z koniem pod Wiaźmą, odbywać musiał drogę w karecie.

W Smoleńsku zarzucił Napoleon pierwotny swój plan zatrzymania się nad Dnieprem: okropny stan wojsk i groza odcięcia odwrotu zmusiły go do tego. Nie miał punktu oparcia, który tak łatwo mógł stworzyć 3 miesiące temu. Odrzucania rad, próśb i błagań, wykrętna polityka względem Polski—mściły się teraz strasznie!

Odcięcie odwrotu uderzyło w oczy Napoleona dopiero na wieść, że admirał Czyczagow, nadciągnąwszy z uwolnioną z Turcji armją, połączył się z Tormasowem i uderzył na Litwę, dając do podania ręki Wittgensztei-nowi. W trakcie tego pochodu Czyczagow zabrał w Słonimie do niewoli pułk gwardji ułanów i zakłady formujących się pułków litewskich, poczem ruszył przeciw Dąbrowskiemu, który pozostawiony z zaledwo 8000-ym oddziałem nie mógł marzyć nawet o powstrzymaniu rosyjskiej potęgi. Szwarzenberg bowiem nie dał mu pomocy, a lawirując ustawicznie, puścił się niby to w pogoń za małym oddziałem rosjan Sackena na południe, czyli, innemi słowami, podążał do Galicji, na swoje terytorjum.

Dąbrowski postanowił uczynić, co się tylko da. Walczyli tedy polacy z nieporównanem męstwem, zmuszając nawet rosjan parokrotnie do cofania, gdy nadszedł rozkaz cesarski zajęcia przedmostowych szan-ców w Borysowie i bronienia za wszelką cenę tej przeprawy przez Berezynę. Walczył nasz Dąbrowski z nadludzkim wysiłkiem, lecz dla nadzwyczajnej przewagi rosjan nie był w stanie wypełnić rozkazu.

Wiadomość o tem, a także o pobiciu Saint Cyr'a przez Wittgenszteina, który pośpiesznie dążył do Borysowa, zajętego właśnie przez Czyczagowa, otrzymał Napoleon po wyjściu z Orszy. W tak krytycznej chwili wróciła sprężystość Napoleona, genjusz jego znów zabłysnął, niestety, za późno! Zmyliwszy rosjan śmiałemi marszami przeprowił się przez Berezynę poniżej Borysowa w d. 26 i 27 listopada pod wsią Studzianką, a gdy nadbiegli rosjanie, zostali odparci i pobici przez korpus Victor'a wraz z polakami pozostałymi na lewym brzegu Berezyny. Okryły się nową chwałą nasze szeregi, w których Dąbrowski i Kniaźwicz zostali ranieni, Zajązkowi zaś kula armatnia urwała nogę.

W Mołodecznie opuścił Napoleon armję, liczącą już tylko 8000 ludzi i pod eskortą polaków udał się przez Warszawę, Poznań i Drezno do Paryża. Podczas parogodzinnego postoju w naszej stolicy obsypywał nas zarzutami, a do wezwanych: Matuszewicza, Potockiego i Pradt'a między innemi powiedział: „nikogo nie widziałem podczas kampanji!” A któż, jak nie sam porozdzierał na cząstki naszą stotysięczną armję?

Kto, jeśli nie my, torował drogę do Moskwy, a osłaniał ją z powrotem!

W chwili stanowczej klęski Napoleona, generałowie pruscy, jakoby bez wiedzy swego króla, zawarli zaraz konwencję z rosjanami, a austriacy cofali się do siebie przez księstwo warszawskie, nie zamieniając jednego wystrzału z następującą armją rosyjską.

XXII. Po klęsce. Aleksander I. Zwrot ku Rosji.

8 lutego 1813 r. wojska rosyjskie zajęły Warszawę, którą uprzednio opuściły władze księstwa, a austriacki generał Siegenthal oddał rosyjskiemu Korfowi na zasadzie układu. O ile austriacy, bądź co bądź jeszcze sprzymierzeńcy, zachowywali się, jak bandyci, o tyle rosjanie zachowywali się przyjaźnie i taktownie. W odezwie wydanej w imieniu cesarza Aleksandra I, przez Kutuzowa, było zaręczenie przyniesienia ulgi krajowi i wezwanie do urzędników, którzy opuścili swe stanowiska, do pełnienia poprzednich obowiązków.

Wojska rosyjskie szybko posuwały się

naprzód, bo austrjacy pośpiesznie się usuwali, a nasi częścią wyginęli w Rosji, częścią zajmowali pruskie twierdze. Tylko ks. Józef z garścią żołnierza zatrzymał się pod Krakowem, gdzie przebył parę miesięcy, organizując armję i zajęty powzięciem decyzji, co dalej czynić. Trud to był wielada wobec odpowiedzialności, ciężącej na księciu, jako naczelniku narodu, w tak ważnej, przełomowej chwili, przytem wiele było rad, zdań i rozkazów, a wszystkie wręcz sobie przeciwne.

Aleksander I, bawiąc najprzód w Płocku, potem w Kaliszu, zjednywał sobie coraz więcej polskich serc i umysłów, a pojawienie się u jego boku Czartoryskiego, który w końcu 1812 r. prosił nawet o uwolnienie z urzędu kuratora, dodawało otuchy.

Naczelnikiem tymczasowego rządu księstwa z ramienia Rosji, został Łanskoj, jako prezes najwyższej rady, złożonej z Czartoryskiego, Kolumba, Lubeckiego, Wawrzeckiego i Nowosilcowa. Zapowiedziano utrzymanie rządu cywilne i zmniejszenie ciężarów, oraz zaprzestanie poboru rekruta, tak że mieszkańcy księstwa znaleźli się w lepszych warunkach, niż poprzednio, tylko

smutek po ofiarach wojny i niepewność, jakim będzie ostateczne rozwiązanie całej sprawy,—mąciły ogólny spokój.

Na czele przyjaznych Rosji obywatele kraju stanęli Matuszewicz i Mostowski, minister spraw wewnętrznych, i wszczęli przez Czartoryskiego negocjacje polityczne. W liście swym do tego ostatniego pisał cesarz Aleksander, iż na razie nie może odbudować Polski, tak ze względu na oburzenie rosjan za udział polaków w walkach przeciw nim, jak zarówno z obawy, aby w takim razie Prusy i Austria nie połączyły się z Francją; przytem, ponieważ rosjanie nie dopuściliby do oddania pod inną władzę całej południowo-wschodniej części dawnej Polski, uważając ją za rdzennie rosyjską,—byłoby więc na razie najlepiej, aby rząd księstwa zawarł przymierze z Rosją.

Wiedział o tem wszystkim ks. Józef, bo jemu w pierwszym rządzie proponowano to samo, co innym, i on to wymógł, że rząd księstwa usunął się z zagrożonej przez rosjan Warszawy; prócz tego,—Fryderyk August nakazywał połączenie z austriakami. Napoleon—pozostanie w księstwie, a Gene-

ralna Konfederacja, która się znów ocknęła—powstanie.

Pierwsze nie prowadziłyby do niczego, gdyż austriacy w najbliższej przyszłości zwrócili oręż przeciw Napoleonowi,—a obrażało do tego Aleksandra I. Drugie i trzecie były niemożliwe; jak tu zbrojnie pozostać w kraju, lub wzniecać powstanie, mające widoki powodzenia, gdy się ma 14000 żołnierza, w tem $\frac{4}{5}$ świeżych rekrutów, 20 dział i amunicji tyle co w ładownicach,—a przeciw sobie potężne wojska przeciwnika, zajmujące kraj cały. Jak ważyć się na krok podobny,—gdy kraj był zrujnowany materialnie, zgnębiony i znękanym — moralnie, a bynajmniej nie usposobiony do powstania wobec postępowania monarchy rosyjskiego; prawda, że Częstochowa, Modlin i Zamość posiadały jeszcze załogi polsko-francuskie, ale cóż one znaczyły wobec rozwianego uroku orłów napoleońskich i potęgi całej Europy, która teraz stanęła przeciw swemu pogromcy.

Logicznie tedy rzeczy biorąc, miał ks. Józef do wyboru między poddaniem się Rosji, a połączeniem z Napoleonem, który już znów szedł zwycięsko przez Saksonję na

ny kulą w piersi, zsunął się z konia i znikł w wezbranych falach.

Jeśli nawet, jak twierdzą niektórzy, nieprawdziwemi są ostatnie słowa bohatera, wyryte na jego pomniku, — to dowiódł ich czynem, jeśli nie wyrzekł ustami. Tak! podjął bohater ten nasz honor, piastował go, chronił i Bogu oddał czysty, nieskalany!

Zwłoki księcia wydobyto z Elstery dopiero 6-go dnia i po uczczeniu ich wspaniałym pogrzebem z rozkazu zebranych w Lipsku monarchów, złożono tymczasowo w grobach miejskich, a w miejscu, gdzie nasz naczelnik rzucił się do Elstery, położono kamień pamiątkowy.

Całe wojsko i naród okrył się żałobą; wierzyć nie chciano w zgon ulubieńca. „Poniatowski był prawdziwym królem: łączył wszystkie po temu tytuły i wszystkie talenty; a jednak zamilkł”: tak określił Napoleon ks. Józefa w czasie pobytu na wyspie św. Heleny.

Kiedy wojska nasze wracały do kraju, zabrały drogie zwłoki ze sobą do ojczyzny, a gdy pochód wszedł na polską ziemię, tłumy całe towarzyszyły mu, oddając ostatnią cześć bohaterowi. 9 września 1814 r. za-

trzymano się pod Warszawą, na Woli. Nazajutrz wśród szpalerów, uformowanych z wojsk rosyjskich, ruszył kondukt eskortowany przez pułki polskie do kościoła św. Krzyża wśród nieustannego huku dział i bicia w dzwony. Za karawanem postępował feldmarszałek Barclay de Tolly, wraz z całą generalicją polską i rosyjską. Ks. Woronicz uczcił rycerza śliczną mową. W dolnym kościele św. Krzyża spoczywały zwłoki księcia aż do 1816 r., wtedy złożono go na królewskie posłanie, w katedrze wawelskiej,—tam, dokąd się stryj jego, król Stanisław August, nie dostał.

Tak uczcił naród jednego z największych swych bohaterów, imię którego czczone będzie na wieki. Waleczny, utalentowany, prawy, litościwy dla biednych i uciśnionych, uosobienie honoru—tem większy zbudził żal swym bohaterskim zgonem, że go za życia często niesłusznie sądzono, znieważano nawet. Zginął, wierny ojczystemu sztandarowi, wyciskając zdroje łez z ocz rodaków. Cześć jego pamięci!

Rada starszych oficerów uchwaliła, że odprowadzą Napoleona do Renu, na co nowy wódz, ks. Sułkowski dał słowo. Gdy się

Napoleon o tem dowiedział, stanął osobiście wśród naszych szeregów i skłonił je do zmiany postanowienia, a dowództwo po Sułkowskim, który wierny słowu za Ren nie przeszedł, objął Dąbrowski. Pod Hanau, gdzie legł ks. Dominik Radziwiłł, nowe wawrzyny okryły naszą broń. Na zimę spoczęto w Sedanie, gdzie okazało się już tylko 5000 ludzi w szeregach, w czem 3000 kawalerji;—utworzono z nich pułk eklereów (éclaireurs) gwardji i 2 pułki ułanów, a z piechoty — 2 bataljony. Oddziały te walczyły zaszczytnie obok szwoleżerów w kampanji 1814 r. pod Brienne, Rheims, Montereau i Arcis-sur-Aube, gdzie nasz bataljon pod wodzą Skrzyneckiego uratował Napoleona, który cudów w tej kampanji dokazywał, ale wobec olbrzymiej przewagi przeciwników i taki genjusz poradzić nic nie był w stanie. Sprzymierzeńcy wkroczyli do Paryża, a Napoleon musiał abdykować w Fontainebleau i wywieziony został na wyspę Elbę, dokąd mu towarzyszył szwadron szwoleżerów pod Jerzmanowskim.

Cesarz Aleksander wziął wojska nasze w opiekę. Już po bitwie pod Lipskiem odesłał jeńców polskich wolno do ojczyzny,

co mu znów przysporzyło sympatji wśród narodu. Przy układach w Fontainebleau Napoleon jakby o nas zapomniał i dopiero wdanie się Dąbrowskiego zapewniło naszym wojakom swobodny powrót do kraju z bronią w rękę, a Napoleon raczył wystosować list do generała Krasińskiego z podziękowaniem za naszą wierność i waleczność.

W kwietniu t. r. udała się deputacja oficerów z Dąbrowskim na czele do cesarza Aleksandra, który ją przyjął z całym szacunkiem i bardzo serdecznie, oddał pod dowództwo swego brata, w. ks. Konstantego i zapewnił powrót do ojczyzny.

Pod Saint-Denis odbył Aleksander I przegląd naszego 5000-nego korpusu, który pożegnał słowami: „do widzenia, w Warszawie!” Prócz tego kazał utworzyć komitet dla organizacji wojsk polskich i wysłał delegatów po jeńców-polaków do Anglii, Danji i na Węgry.

W przeddzień pogrzebu ks. Józefa weszło wojsko nasze do Warszawy, uroczyscie witane przez jej mieszkańców i władze rosyjskie.

W tym czasie sędziwy Kościuszko, przebywający w Berville, pod Paryżem, wysto-

sował list do cesarza Aleksandra z prośbą, aby się władca Rosji ogłosił królem polskim, nadał konstytucję krajowi, a ziemię i oświatę włościanom. Nadto, ofiarował swe usługi ojczyźnie i królowi.

Aleksander I odpowiedział własnoręcznie, obiecując iż przy odpowiednim zachowaniu się, odzyszczą polacy ojczyznę i że miło mu będzie widzieć u swego boku zasłużonego męża przy pracach nad uszczęśliwieniem Polski.

Przyjaźń swą dla polaków udowodniał Aleksander I czynami. Dekretem z d. 1-go lutego 1814 r., wydanym w Troyes, a więc wtedy jeszcze, gdy polacy walczyli przeciw Rosji, poczynił jej monarcha ogromne ulgi dla księstwa Warsz. Dekret ten zniósł całkiem lub obniżył wiele bardzo podatków i ciężarów, osłonił mieszkańców od wojskowej swawoli, zniósł ograniczenia handlowe, zapewnił los inwalidom, weteranom, wdowom i sierotom po wojskowych i t. p. A wszystko razem było oznaką nie gołosłownej życzliwości, a prawdziwych dobrych zamiarów. Tajały serca, garnięto się ku cesarzowi rosyjskiemu, a był to wtedy najpotężniejszy monarcha Europy, który mógł

dla nas bardzo wiele uczynić i okazywał ku temu poparte faktami chęci, gdy tymczasem Francja, pomimo 20-letniego łudzenia, okupionego olbrzymiemi z naszej strony ofiarami, nie wiele teraz mogła, a nic nie chciała; na Niemcach zaś chyba nie można było nigdy polegać: mogliby coś obiecać, gdyby nb. nas potrzebowali, a potem pokazać pięść; Anglii wreszcie nie zależało na tem, aby się kwestja polska rozstrzygnęła na naszą korzyść, bo ten naród kupiecki żadnejby z tego nie miał korzyści.

Tak tedy sama konieczność dziejowa i zdrowy rozsądek nakazywały zwrócić się ku Rosji, a cóż dopiero, gdy jej władca dawał na każdym kroku dowody swej ku nam przychylności, a zwłaszcza wtedy, gdy oręż jego zatryumfował nad francuskim. To też przenieśli polacy swe nadzieje na Aleksandra I, starając się mu to dobitnie okazać.

Gdy we wrześniu 1814 r. przejeżdżał cesarz rosyjski przez księstwo, dążąc do Wiednia na kongres, spotkała go w Białej umyślna deputacja, a przedstawiciele departamentów siedleckiego, lubelskiego i radomskiego przyjmowali go uroczyście na swych granicach. W Puławach zatrzymał się ce-

sarz na dłużej u Czartoryskich, co poczytano za dobry znak dla naszej sprawy. W samej rzeczy jechał na kongres cesarz Aleksander z postanowieniem wykonania projektu Czartoryskiego, którego wspólny pożytek dla Polski i Rosji jest rzeczą niezbitą.

XXII. Daremne wysiłki. Kongres Wiedeński.

Pokój paryski, podpisany 30 czerwca 1814 r. uregulował tylko sprawy czysto francuskie. Reszta Europy wskutek zmian i przewrotów, zaszłych w ostatnich zwłaszcza latach dziesięciu, znajdowała się w takim chaosie i gmatwaninie różnych spraw, że nie łatwą było rzeczą i wymagającą dłuższego przeciągu czasu, uregulować to wszystko, zwłaszcza tak, aby zyskać ogólne zadowolenie.

Co prawda, o takim wymiarze sprawiedliwości, aby nastąpiło powszechne zadowolenie narodów, mogło się tylko roić w marzycielskich głowach jednostek szlacheckich, a niepraktycznych, gdyż niemożliwym było przypuszczenie, aby niemieckie mocarstwa,

butniejsze wówczas, niż kiedykolwiek przedtem, dążyły ku temu, a nie ku wyciągnięciu swych osobistych korzyści, bodaj nawet siłą, gdy się nie da inaczej. W każdym bądź razie, nawet z pośród pesymistów bardzo mało kto mógł się spodziewać, że kongres Wiedeński tak daleko odbiegnie od swej powierzchniowej dewizy; zamienił się bowiem, pod koniec zwłaszcza, w jarmark, na którym sprzedawano i kupowano całe ludy, targując się przytem zajadle, byle jak najwięcej zyskać. Tak to był zaprowadzony ów porządek w Europie, w celu którego postanowiono zwołać do stolicy Habsburgów kongres przedstawicieli wszystkich państw na dzień 1 października 1814 r. Termin ten wkrótce odłożono o cały miesiąc. Była to już dobra zapowiedź jeszcze lepszej przyszłości!

Wśród nieustannych festynów i balów spoczywali w Paryżu na laurach zwycięscy, hucznie podejmowani przez zawdzięczającego im powrót na tron przodków, Burbonów, króla francuskiego, Ludwika XVIII, niegdyś gościa-tulacza ks. Józefa w Warszawie.

Na kongres zaczęto ściągać w końcu

września, i tu przeniosły się paryskie zabawy. Zamiast wziąć się do dzieła, na dokonanie którego wyczekiwały miliony z tchem zapartym i bijącemi sercami, trwoniono krocie i czas na puste swawole. Wśród tego karnawału odbyto kilka narad wstępnych, na których odrazu wystąpiły, i to w dość ostrej formie, najżywotniejsze zadania kongresu: sprawa nasza, a obok niej saska. Sądząc z postawy, jaką zajęła Rosja od pierwszej zaraz konferencji, potwierdzić można już fakt postanowienia przez jej władcę wskrzeszenia planu swego druha, Czartoryskiego.

Na pierwszej wstępnej konferencji pełnomocnik rosyjski, Nesselrode, podał projekt utworzenia konstytucyjnego królestwa polskiego, połączonego z Rosją przez osobę cesarza rosyjskiego, jako króla, t. j. przez unję osobistą, oraz oddania królowi saskiemu, tytułem indemnizacji za włączenie jego państwa do Prus, pewnego obszaru ziemi za Renem. Projekt ten poparły Prusy, pomiędzy którymi a Rosją poprzednio jeszcze stanął układ w sensie: za Polskę — Saksonja.

O projekcie Aleksandra I co do Polski

wiedziano w Wiedniu dawniej, lecz wśród szczęku oręża nie było czasu i sposobności do działań dyplomatycznych, a i niebezpiecznie byłoby je prowadzić w duchu przeciwnym zamiarom władcy Rosji, który w swej dłoni trzymał los wojny, a prócz tego nie spodziewano się, aby Prusy poparły Rosję, a wprost przeciwnie,—że pod grozą widma polskiego staną pierwsze wpoprzek planom cesarza Aleksandra. To, co się stało teraz, odrazu rozbiło te wyrachowania i nadzieje.

To też zakotłowało się okropnie, gdy prawda w całej swej nagości stanęła przed oczami austriackich dyplomatów z osławionym Metternichem na czele, a francuskich— z Talleyrandem, lepszym jeszcze gatunkiem, niż pierwszy. Rząd bowiem francuski chciał i postanowił ocalić Saksonję za wszelką cenę, nawet — hańby.

Zaczęły się tedy pertraktacje, przedłożenia i tłumaczenia, zakończone tak burzliwym zajściem, że cesarz Aleksander, oburzony do żywego, a dotąd twardo stojący przy powziętym zamiarze, nie chciał więcej rozmawiać z Metternichem, ani nawet go widzieć.

Do załagodzenia został użyty Talleyrand, a potem Castelreagh, pełnomocnik Anglii, ale gdy i ten nie pomógł, a Prusy, w osobie ministra Hardenberga, również zachowały się odpornie, czując za sobą Rosję, postanowił przebiegły koryfeusz polityki wiedeńskiej zaszachować przeciwników raptownem wniesieniem projektu utworzenia niezależnej od nikogo Polski w granicach z przed pierwszego rozbioru.

Kombinację tę, po uprzednim porozumieniu, poparły Francja i Anglja. Pierwsza ze wzmiankowanego już względu na Saksonję, druga zaś nie dla jakiejś specjalnej ku nam życzliwości lub dobrych chęci, a dlatego chyba, że od chwili wybuchu francuskiej rewolucji stale i konsekwentnie popierała Burbonów. W celu wzajemnego popierania się zawarły powyższe mocarstwa w d. 3 stycznia 1815 roku przymierze z Austriją, wymierzone przeciw Rosji i Prusom.

Ostatni projekt był, ma się rozumieć, polityczną fikcją tylko, i ciekawą jest rzeczą, jakoby miał minę Metternich i spółka, gdyby tak pełnomocnicy Rosji i Prus przystali zgodnie na projekt? co za nową wtedy sztu-

kę wypłatałaby para: Metternich - Talleyrand?

Gdy do pomienionego trójprzymierza przystąpiły nieco później: Sardynja, Holandja, Bawarja i Hannover,—rozpadł się cały kongres na dwa, i to wprost wrogie obozy.

Już jednak przed formalnem zawarciem tego przymierza, w końcu listopada 1814 roku rzeczy zaszły tak daleko, że czuć było w powietrzu proch i ołów, przez horyzont polityczny przelatywały groźne błyskawice, a do zawziętego sporu o Polskę i Saksonję przyłączyła się jeszcze druga kolizja! Rosja i Prusy na zasadzie pierwszego tajnego artykułu traktatu paryskiego zażądały niedopuszczania na posiedzenia, wyznaczone w celu rozgraniczenia ziem, leżących po za obrębem Francji z 1792 r., — przedstawicieli takowej, czemu się znowu oparła reszta uczestników kongresu, a najbardziej pełnomocnicy Austrii i Francji.

Wtedy rozdrażniony cesarz Aleksander, a zwłaszcza rozgoryczony stanowiskiem Francji, na której poparcie najwięcej liczył,—był bardzo blizki do użycia siły w celu doprowadzenia do pożądanego skut-

ku swych zamiarów. A miał pod ręką 300000 gotowych do boju swych własnych wojsk, całą, już nie tylko sympatję, lecz ufność polaków, a więc i ich bitne szeregi; prusacy również dla własnego interesu musieliby swą siłę zbrojną połączyć z rosjanami i polakami.

Że tak, a nie inaczej stanęła kwestja, dowodzi zachęcanie polaków przez w. ks. Konstantego do zbrojenia się w celu poparcia żądań cesarza Aleksandra, których wypełnienie nie tylko zapewniało utrzymanie w kraju konstytucji, lecz i odbudowanie Polski. W tym duchu wydał w. ks. Konstanty odezwę w d. 23 listopada 1814 r., w której czytamy:

„Cesarz Wszechrosji, wasz potężny protektor, przywołuje was do oręża. Zbierajcie się pod swe sztandary! zbrójcie się na obronę ojczyzny i zachowanie bytu politycznego! Wodzowie, którzy od lat dwudziestu prowadzili was drogą honoru, potrafią ją znowu wskazać mężnym polakom!”

Takie wyrazy nie potrzebują chyba komentowania, a w. ks. Konstanty nie mógłby bez wyraźnego upoważnienia i wiedzy swe-

go monarszego brata wydać takiej odezwy publicznie.

W trakcie tego zaostżenia się stosunków, Saksonja, zarządzana czasowo przez Repnina, została oddana pod władzę Prus, które z tego powodu bardzo ostro manifestowały swą przyjaźń dla Rosji, głośno pobrzękując orężem. Potrzeba więc było tylko małej iskierki dla wywołania wybuchu w razie, gdyby nie ustąpili przeciwnicy projektu cesarza Aleksandra.

Ta chwila naprężenia, tak dla nas przyjazna minęła, niestety, zbyt szybko. Oddawna nieprzychylna Polsce i polakom, a ostatnimi wypadkami jeszcze bardziej podrażniona, partja staroruska, lub wielkorosyjska, znowu przeważyla szalę. Cesarz Aleksander, który uważał wojnę tylko za smutną ostateczność, gdy dodał w swym umyśle i powyższą jeszcze wewnętrzną kolizję, zachwiał się, a wreszcie cofnął pod różnemi presjami i wpływami.

I tym więc razem upadł plan Czartoryskiego, a wraz z nim runęły nasze nadzieje.

Pozostały wprawdzie jeszcze na razie Prusy, ale one o tyle głosowały na naszą

korzyść, o ile to potrzebnem było dla poparcia Rosji, wiedzieli bowiem dobrze potomkowie krzyżaków, że własnymi siłami nie tylko nie otrzymają Saksonji, ale, że na nich osobiście nikt się nawet nie ogląda, a więc mogą nic na tym jarmarku nie utargować, jeśli puszczą się klamki rosyjskiej. Dlatego też, gdy Aleksander I odstąpił od swych żądań, Prusy, butne i wyzywające w wigilję dnia tego, odrazu spokorniały i znacznie spuściły z tonu.

W rezultacie tych wszystkich zajęć zgodzono się na przyjęcie planu, podanego przez Castelreagh'a: podzielić księstwo warszawskie i Saksonję. Pozostała już tylko kwestja, jakim ma być ten podział. Nastąpiły długie targi i byłyby się ciągnęły Bóg wie dokąd, gdyby nie piorun pod postacią wieści, przyniesionej w nocy z 23 na 24 marca o wylądowaniu Napoleona we Francji i jego tryumfalnym pochodzie do Paryża. To przyśpieszyło ostateczne formalne zakończenie spraw, naszej i saskiej.

Jak oddziaływał urok Napoleona na naszych dziadów, najwymowniej świadczy fakt, że i wtedy znalazło się sporo takich, co

znów oczy swe i nadzieje zwrócili ku Francji. 18 czerwca klęska Napoleona pod Waterloo ostatecznie zakończyła tę epopoję.

Podział księstwa, oparty na zasadzie europejskiej równowagi, podpisano 3-go maja 1815 r. W dniu tego ostatniego, a szóstego z kolei podziału Polski, przestało urzędowo istnieć księstwo Warszawskie, którego faktyczny koniec nastąpił już o 2 lata wcześniej z chwilą zajęcia go przez wojska rosyjskie.

Nowy ten podział przetrwał do dzisiaj, prócz nieznacznej zmiany przez wcielenie do Austrii podczas wypadków 1848 r. utworzonego przez kongres małego okręgu wolnego miasta Krakowa.

Część księstwa, przyłączona do Rosji, otrzymała nazwę „Królestwa Polskiego”, a tytuł króla przyjął cesarz rosyjski i nadał nowemu nabytkowi autonomiczną konstytucję z własnym wojskiem i ministrami. Namiestnikiem mianowany został generał Zajączek, najmniej z pośród wszystkich, a właściwie wcale na tę godność nie zasługujący.

Prócz tego, z inicjatywy cesarza Aleksandra, zawarły Prusy i Austria umowę

z Rosją, przez którą przyznano urządzenia i instytucje narodowe, oraz pewne korzyści handlowe mieszkańcom dawnej Polski w granicach z przed 1772 r.

Tak się zakończyło pierwsze dwudziestolecie naszego istnienia porozbiorowego.

Na zasadzie opisanych dziejów, wiemy dzisiaj, jak olbrzymie posiadaliśmy siły, i czego dokazać można, gdy się chce.

Pomimo rozdzielenia na trzy części, pomimo błędów i rozsterek, umieliśmy uczynić, i to w krótkim przeoiągu czasu, rzecz nader ważną:—wzbudzić dla siebie ogólny szacunek, zwłaszcza tam, gdzie ostatnie lata naszej samodzielności zupełnie go zgasiły.

Prawda, nie spełniły się nasze nadzieje,—nie otrzymaliśmy Polski niepodległej, ani nawet takiej, jaką swym planem stworzył Czartoryski,—mały ułamek tylko, ale mieliśmy zapewnioną na nim możność rozwoju i pielęgnowania ducha narodowego; oczyściliśmy nasz honor, stanęliśmy w oczach nie jednostek, a świata całego, jako naród upadły wprawdzie, ale nie skutkiem utraty

honoru i godności, a przez błędy i nie-
szczęścia.

Jednem słowem, odnieśliśmy wielkie,
walne zwycięstwo moralne, dające w przy-
szłości zwykle więcej, niż materialne, któ-
re przeważnie bywa naturalnym skutkiem
pierwszego.



**Biblioteka
U. M. C. S.
w Lublinie**

S P I S R Z E C Z Y.

	<i>Str.</i>
Od autora	3
Wstęp	5

Część I. 1795—1803.

Emigracja. Projekt legionów . . .	9
Legjon włoski	14
Utworzenie legionu włoskiego, Dąbrowski. Stan wewnętrzny kraju . .	24
Walki we Włoszech. Trudności. Rozczarowanie	32
Zwycięstwa we Włoszech. Nieszczęścia legionów	50
Legjon Nadđunajski	63
Reorganizacja, San Domingo . . .	73

Część II. 1803—1807. *Str.*

Zwrot w losach. Czartoryski	83
Intrygi Prusaków. Zniweczenie planów Czartoryskiego. Koalicja monar- chów	91
Nowe zwycięstwa Napoleona. Nowe nadzieje Polaków	100
Napoleon w Warszawie. Utworzenie Księstwa Warszawskiego	108

Część III. 1807—1815.

Konstytucja księstwa. Organizacje administracyjne.	123
Smutny stan ekonomiczny kraju	132
Pierwszy sejm	150
Systemat kontynentalny. Wojna z Hisz- panją. Somosierra. Saragossa	154
R. 1809. Książę Józef Poniatowski. Zdobycie Galicji	165
Korzyści z przyłączenia Galicji. Zły stan ekonomiczny kraju	180
Drugi sejm	190
W przededniu 1812 r. Matactwa Na- poleona. Generalna Konfederacja.	194

Wielka kampanja 1812 r. Odznaczenie się Polaków. Niepowodzenie .	204
Śmierć ks. Józefa. Po klęsce. Aleksander I. Zwrot ku Rosji	219
Daremne wysiłki. Kongres Wiedeński.	233
Zakończenie	243

